

CENA 50 GR.  
ROK II. NR. 11 (24)  
WARSZAWA  
SOBOTA  
17-III-1934 R.

12442/2/11  
**PION**

**TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY**



Fragment z Księgi „Święta Kawalerji w Krakowie” ofiarowanej Marszałkowi Piłsudskiemu

Drzeworyt St. Ostoi-Chrostowskiego

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

K 1243/84/20



WACŁAW  
SIEROSZEWSKI

# W POGONI ZA ENTUZJAZMEM

Nawalnica Wielkiej Wojny usiała trupami, zgłiszczami i ruinami wszystkie kraje, gdzie dosięgła jej straszliwe tchnienie. Ale olbrzymie, wywołane przez nią, straty materialne były niczem w porównaniu ze zniszczeniem, jakiego dokonała w duszach narodów. Widok w ciągu pięciu lat masowych rzezi, nieustannych gwałtów, triumfów, okrucieństwa, bezmyślności, zmysłowego rozpasania, zachwał w ludziach wiarę w człowieczeństwo. Życie, zamiary i marzenia jednostek stały się dla nich samych czemś tak kruchem i niepewnym jak znikomość bańki mydlanej... Zachował wartość jedynie moment teraźniejszości, przeżycie chwilowe, uciekające z oczu i serca jak złuda, jak mara spalająca się natychmiast na znikomym, gorzkim popioł...

Jakże mało w tych warunkach pozostawało miejsca dla trwałej, twórczej pracy!... Jakże trudno było hodować w sobie chęć do niej! Tymczasem prosta konieczność istnienia wymagała tej pracy. Trzeba było corychlej budować dla siebie i rodziny dach nad głową, dźwigać z gruzów wsie i miasta, zaorywać zdziczałe pola, uruchamiać zardzewiałe, polamane warsztaty, nawiązywać porwaną komunikację... Wszystko to wymagało niezmiernego wysiłku i poświęcenia.

W naszym kraju, przez który trzykrotnie przetoczył się ognisty walec wojny, w społeczeństwie zaledwie uwolnionym z wiekowego, obcego ucisku, w państwie, gdzie nie było ani administracji, ani wojska, ani skarbu — ofiary te i zmagania się musiały być stokrotnie większe niż gdziekolwiek...

A jednak pokonaliśmy przeciwności: Polska jest, rozwija się, potężnieje, ma armję, godną wielkiego mocarstwa, przeżywa z powodzeniem powojenną światową dżumę gospodarczą, buduje flotę, obwarowuje swoje „wyjście na świat“, swój port wspaniały i jedy...

Stało się to dzięki temu, że mieliśmy nagromadzone w naszych duszach z czasów niewoli nieprzebrane pokłady miłości do uciemiężonej Ojczyzny i stanowcze pragnienie Jej niepodległości.

Dlaczego jednak ostatnimi czasy odczuwa się jakgdyby osłabienie ogólnego entuzjazu w społeczeństwie polskim, daje się spostrzegać poszukiwanie nowych ideałów, nowych wskazań, nie doraźnych już, lecz stałych i otwierających dalekie perspektywy?!

Na to składa się wiele przyczyn, ale jest jedna zasadnicza, która jest zarazem powszechną: wieczna tęsknota tłumów do hasel, ujmujących w wyraźne kształty pragnienia i nadzieje utajone w oddzielnych duszach.

Dla ułatwienia, prześwielenia i upiększenia swojego szarego codziennego trudu, dla złagodzenia ostrości cierpienia i osłody goryczy osobistych zawodów, ludzie potrzebują wiary, że te ich wysiłki i bóle nie idą na marne, że one jak rany i zgony bojowe służą wielkim triumfom.

Straszliwe męki i ofiary, jakie poniosła i ponosi obecnie Rosja sowiecka, stwarza jedynie w oczach tamtejszych tłumów pewność, że w ten sposób stwarzają one jakieś nieznanne jeszcze wzory lepszego, szlachetniejszego życia dla całej ludzkości. Młodzież niemiecka upaja się nadzieją, że nie tylko da szczęście i dobrobyt swemu narodowi, przez swe wyrzeczenie się praw osobistych, lecz że narzucając niemieckie porządki i niemiecką kulturę całemu światu przyniesie mu wieczny błogostan. Faszizm włoski wierzy w to samo.

W to samo wierzy Roosevelt wraz z amerykańskim „senatem mózgów“, obmyślającym uniwersalne sposoby przekształcenia panującego na świecie „liberalizmu“ ekonomicznego w gospodarczy „harmonizm“. Nawet z głębi zamkniętej w sobie, surowej duszy japońskiej, wyblęskują od czasu do czasu luno-marzeń o jakiejś „prawdzie Wschodu“ niosącej ukojenie skłóconemu światu...

Wielka Wojna z miażdżącą siłą ujawniła solidarność losów wszystkich mieszkańców globu ziemskiego. Stąd uniwersalność wszystkich wogóle wielkich ruchów społecznych wzrosła jeszcze w powojennych prądach. Stąd

tęsknota często podświadoma w naszych przeżyciach duchowych do nawiązania corychlej formalnej łączności z wszechświatem. Dyktuje to nadmiar instynkt samozachowawczy narodu. Nasza działalność twórcza nie może osłabnąć i musi dojść do wyraźnego samookreślenia, jeżeli nie chcemy, żeby nas zalała i pochłonęła energia cudzoziemska.

Ten ruch powszechny zaskoczył nas na przełomie wewnętrznym bardzo dla nas trudnym. Z odzyskaniem niepodległości dawna miłość Ojczyzny utraciła swą ostrość i barwę. Dorasta i bierze czynny udział w życiu publicznym pokolenie, które nie znało — na

szczęście — niewoli i nie rozumie egzaltacji uczuć niewolnika. Dla usprawiedliwienia i wzmocnienia swojej ofiarności potrzebuje ono innych uczuciowych czynników. Entuzjazu nie można wyrozumować albo nakazać, rodzi się on w najbardziej tajemniczych komórkach zbiorowej jaźni. Nowa jego forma jest obecnie w Polsce w stanie mgławicowym, ale już istnieje poczucie jego potrzeby i mamy jeden z ważnych warunków jego krystalizacji — osobę wodza.

Zawsze uczuciowe ruchy mas dla swego skupienia wymagały żywego symbolu, którego działalność i obraz jak gwiazda polarna wskazywałyby im właściwy kierunek. Każdy naród ma lub szuka dziś dla siebie wodza, któryby go poprowadził w kierunku, właściwym duchowi jego dziejów. Włochy posiadają Mussoliniego, Niemcy — Hitlera, Ameryka — Roosevelta, Rosja — Lenina... Polska ma Józefa Piłsudskiego. Umiał on pociągnąć i natchnąć entuzjazmem tłumy, które wywalczyły i obroniły niepodległość. Dla czasów nowszych rzucił hasło, które powinno się stać sztandarem młodego pokolenia.

„Wyścig pracy“ — skromnej, cichej pracy zawodowej u podstaw. Już przeżyliśmy chwilę dziejową, gdy podobne hasło było rzucione i przeprowadzone z milczącym, skupionym entuzjazmem. Było to po 1863 roku, kiedy klęska powstania zepchnęła na jakiś czas z areny myśli polskiej, zagadnienia polityczne. Dziś zepchnęło je z zainteresowań tłumów powodzenie. Polityka stała się udziałem rządów, oswojona energia idejowa szuka innych zadań. I ona może je znaleźć w tym samym programie pracy organicznej, który w epoce popowstaniowej stawił znaczną część inteligencji polskiej za ladą kupiecką, kazał jej rzucać szkoły i uniwersytety, aby iść do warsztatów i fabryk, pędził ich na wieś, gdzie umyślnie chłopiele uprawiając kawalek ziemi, albo zajmowali posady pisarzy gminnych, nauczycieli ludowych, sędziów i wójtów. Szły gromady studentów „promykowców“ z elementarzem polskim do chat chłopskich, narażając się na aresztowania i przesładowanie policji. Panienki ze dworu zakładały apteczki i tajne szkółki...

Tak powstawały podświadomie głębokie fundamenty przyszłego ruchu wyzwolenieczego...

Nigdy nie byliśmy narodem rewolucyjnym; nie mieliśmy w historii gwałtownych przewrotów społecznych. Nasze „insurrekcje“ miały raczej charakter wojen z państwami zabobrczemi. Szliśmy zawsze drogą ewolucji i taką drogą zapewne pójdziemy na przyszłość, gdyż ona zgodna jest z naszym charakterem narodowym. Nie przeszkadza to wcale poczuciu silnego związku z prądami wszechświatowymi, jeno my przeprowadzamy je w inny sposób. Nie potrzebujemy nikogo naśladować, gdyż mamy własne wzory, które czestokroć wyprzedzają reformy europejskie...

Poczucie, że Polska znów dzięki naszym wysiłkom staje się potężnym państwem, że jest filarem europejskiego pokoju, że wolna wprowadza u siebie to, co jest dopiero hasłem u bogatszych i lepiej zorganizowanych narodów — napawa nas otuchą, że jesteśmy na dobrej drodze.

Chodzi dziś o to, aby naradzający się nowy entuzjazm znalazł dla siebie właściwe ujście, aby wziął żywy udział w „wyścigu pracy“, aby przeniknął w sam miąższ ludu, porwał go i w ten sposób podniósł powszechny poziom polskiego idealizmu.

WINCENTY RZYMOWSKI

## W PERSPEKTYWIE HISTORJI

Walka o niepodległość, podjęta przez Józefa Piłsudskiego, pod schyłek ubiegłego wieku i ostatecznym uwieńczonego zwycięstwem w wyniku wojny światowej, była udziałem szczupłej, jakże bardzo szczupłej mniejszości narodu! Jak niegdyś na hasło Kościuszki, jak później na głos Belwederczyków i potem jeszcze na głos Rządu Narodowego w r. 1863, tak samo na Piłsudskiego wezwanie odpowiedział szczupły, liczebnie prawie znikomy, zastęp ludzi. Zastęp tak szczupły, że się go zrazu wyparto, a potem przez długie lata wyklinano, jako garść intruzów. Niedarmo pieśń Pierwszej Brygady narodziła się z pogardy i gniewu dla środowiska.

Tradycja polska pod tym względem pozostała wierna sobie.

A jednak w tradycję tę, wraz z Józefem Piłsudskim, wszedł moment przełomowy, który odwrócił pasmo klęsk i otworzył erę zwycięstwa.

Gdy dawni wodzowie Powstań rekrutowali swych żołnierzy ze sfery szlachecko-ziemiańskiej, Piłsudski, pierwszy, zwrócił się do robotników i chłopów, jako do utajonej i potężnej, niewyzyskanej dotąd, armji niepodległości.

Szedł ku nim nie z obietnicą darów, jak Kościuszko, nie z darami, jak Powstanie Styczniowe, ale z ciężarem wyłącznej odpowiedzialności za naród i państwo, za myśl i kul-

turę polską. Zastęp, który z masy powszechnego bezwładu oderwał, był mniejszością, jak ongi, ale mniejszość ta pochodziła z przeciwnego skrzydła budowy społecznej. Nie była to Ostatnia Reduta gasnącego świata, gotowa własne bohaterstwo pogrzebać pod gruzami sprawy, ale pierwszy posterunek siły, twardej i niepozytej jak ziemia, nieśmiertelnej jak praca na tej ziemi. Siły, zdolnej do nieograniczonego rozwoju. Dlatego to „pierwsza kadrowa“ rozwinęła się w „pierwszą brygadę“, a z tej powstał pierwszy Naczelnik i pierwszy rząd Polski odrodzonej.

Dopóki piastunką idei niepodległościowej była szlachta, każdy zabór wewnętrzny, każdy zewnętrzny najazd na Polskę mógł czerpać siłę z krzywdy i upokorzenia jej ludu. Jakże udać się mogło powstanie, które mając przed sobą armaty wroga, poza sobą czuło niechęć lub obojętność chłopów? I czy sama niepodległość w rękach klasy przeżytej nie zaczęła wydawać się światu — przeżytkiem?

Aby uratować ideę, trzeba było wlać w nią nową krew, trzeba było osadzić ją w pierśi chłopów i robotników.

Ta transfuzja krwi skojarzyła się z dziełem Józefa Piłsudskiego i ona to stanowić będzie o wielkość jego w historii polskiej. Ona bowiem, w instancji ostatecznej, rozstrzygnęła o odbudowaniu Państwa Polskiego. Wszystkie inne dały okoliczności zewnętrzne.

## NA EMIGRACJI W LONDYNIE



Ignacy Mościcki, Bolesław Miklaszewski, Bolesław Antoni Jędrzejowski, Józef Piłsudski, Aleksander Dębski i Witold Jodko-Narkiewicz

W NASTĘPNYM NUMERZE „PIONU“ ZAMIESZCZONY BĘDZIE ARTYKUŁ WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO P. T. SPOD PYŁU ZAPOMNIENIA, PRZYNOŚĄCY NIEZNANE INFORMACJE O POBYCIE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W LONDYNIE W 1902 R., ORAZ NIEZNANY I NIEWŁĄCZONY DOTYCHCZAS DO ZBIORU PISM I ROZKAZÓW ARTYKUŁ MARSZAŁKA, OPUBLIKOWANY W EMIGRACYJNEM PIŚMIE REWOLUCJONISTÓW ROSYJSKICH „SWOBODA“ W TYMŻE ROKU P. T. SAMOWŁADCZY GOSPODARZE POLSKI.



Drzeworyt St. Ostoi-Chrostowskiego



Drzeworyt St. Ostoi-Chrostowskiego



# ZUŁÓW W PEJZAŻACH KONONOWICZA



Ogólny widok Żułowa



Jezioro „Piorun” w Żułowie



Kapliczka wzniesiona przez dziadka Marszałka



Wędzarnia z r. 1872

„Majątek Żulowo, należący do gminy Podbrodzkiej (dawniej Michałowskiej) powiatu Święciańskiego, jest oddalony o 64 kilometry od Wilna, a 14 kilometrów od stacji Podbrodzie. Od Podbrodzia zaś do Wilna 60 kilometrów. Środku lokomocji od stacji Podbrodzie do maj. Żułowa nie są wysmienite. Droga, którą trzeba przebyć furą — te 15 kilometrów, miejscami prosto jest niemożliwa i wygodni kłaby napewno, potłukłszy sobie mocno siedzenie na takiej furze o ciężkich masywnych kołach. Lecz ja przyzwyczajony do wszystkiego nie odczuwałem ani złej drogi, ani gorszej jeszcze furę. W drodze do Żułowa nie słyszałem nawet, co mi woźnica opowiadał. Całą uwagę moją pochłaniał piękny widok, jaki rozłożył się przede mną, gdy wyjechaliśmy za miasteczkiem Podbrodzem na trakt duży, który wiedzie od Podbrodzia do Święcian i het jeszcze dalej. Po szerokiej drodze śliczne się rozłożyły brzozy, uciekają nam, uciekają i giną w perspektywie. Nie spostrzegłem się, jak przejechaliśmy jakieś miasteczko, raczej wieś lub osadę. Zapytuje „co to jest?”. Odpowiada woźnica mniej chętnie, bo przedtem spostrzegł, że z tego, co opowiadał, dotychczas nic nie słyszałem.

„Heto jest, panoczek, miasteczko, ale ja koje tam miasteczko, heto jest wioska Powiewiórka”.

„Przejechaliśmy ona Powiewiórkę śliczną, kościółek mały drewniany, ale jak malowniczy i piękny”.

Zacytowałem ten opis drogi z notatnika malarza Zenona Kononowicza, który latem i jesienią zeszłego roku w Żulowie rozłożył swą kwatery i stamtąd przywiózł imponujący dorobek dwustu bezmała pejzaży malowanych częściowo olejno na płótnie, w większości temperą na płóciennym papierze.

Wszystko w Żulowie oddycha wspomnieniami dzieciennych lat Marszałka. Bo to były te dobre czasy, o których starzy ludzie tamtejsi opowiadają, kiedy był dwór, kiedy byli państwo. Potem, gdy państwo Piłsudscy wyjechali z Żułowa, przyszli nowi czasowi nabywcy, przyszli dzierżawcy i wszystko zaczęło szybko chylić się ku upadkowi i ruinie.

W owym ślicznym kościółku wiejskim w Powiewiórce staruszek ks. proboszcz Wołański, który spoczywa na miejscowym cmentarzu chrzcil Marszałka, tu w murowanej samotnej kapliczce pochowany jest dziad (wuj matki) Michałowski; od Michałowskich cała gmina Podbrodzia zwała się niegdyś Michałowską a ich dobra Michałowszczyzną.

Opowiadał p. Kononowiczowi dawny służący żułowskiego dworu staruszek Piłwin, że kiedy „panicz Józef” a dzisiejszy Marszałek przyjechał do Żułowa odwiedzić kaplicę po jej odnowieniu, zapytał się Marszałka: „czy Panoczek wróci nazad?”. „Nic tutaj ciekawego — odpowiedział mu Marszałek — ale w rodzonej stronie i wiatr pachnie”.

A osmdziesięcioletnia staruszka Piłwinowa pytała naiwnie, czy naprawdę „Pan Józef” tak dobrze się ma, że nie chce wracać do majątku.

W prześlicznych pejzażach Kononowicza przewija się wspomnienie dzieciństwa Józefa Piłsudskiego. Zmieniło się bardzo, wiele poszło w ruinę, ale pejzaż został ten sam: napóżór monotony, smutny, w rzeczywisto-

ści jakże różnorodny i bogaty krajobraz litewski. Niebo zawsze zasnutę chmurkami, wielkie samotne drzewa, piaszczyste górki, świeżą zielenią wesołą się zagaje i czyste ciemne smugi wody.

Oto rzeczka Mera nad którą długie godziny spędzał Marszałek z rodzeństwem łowiąc ryby. Oto jezioro Piorun, w którym się topił, wyjechawszy na nie w dziurawem czółnie. Rybak Jan Masiewicz pamięta jak jego ojciec i brat starszy drugą łodzią wyjechali na jezioro i paniczów przemoczonych do brzegu przywieźli. Trzeba było ubrania wyżymać i suszyć, a panicze przykazywali, żeby ten wypadek w najgłębszej tajemnicy zachować.

A to lipa przesłiczna, ogromna, dziwnie rozłożysta, pod którą Marszałek lubił siadywać, to sosna, którą miał posadził. I ten domek, w którym mieszkali państwo Piłsudscy po pożarze dworu. I ten „wiatr który w rodzonej stronie pachnie”.

Pejzaże Kononowicza, w których zamknął on swe wrażenia z Żułowa dzisiejszego, są dziełem wysokiego poziomu wiedzy malarzkiej i dużej dojrzałości artystycznej. A co stanowi ich najbardziej charakterystyczną chyba cechę — to ogromna świeżość i wrażliwość odczuwania przyrody. Ten sam motyw powtarzany kilka razy w różnych okolicznościach, w różnych porach dnia, daje w odmiennej tonacji, w odmiennym ujęciu, tyle głęboko uchwyconych istotnych różnic, że nie tylko nie nuży zupełnie oczekiwana monotonia, ale tembardziej zaciękwia bogactwem nastrojów i malarskich rozwiązań. Kononowicz potrafi wydobywać wewnętrzny wyraz otaczających go przedmiotów i zjawisk. Ale bo też sam potrafi ten wyraz zobaczyć i zaobserwować tam, gdzie mniej bystry i wrażliwy obserwator przeszedłby, być może, obojętnie.

To nie są tylko na gorąco chwytane, obiektywnie ściśle studja pejzażowe. Mimo ogromnej ich liczby, każdy z tych żułowskich krajobrazów — to skończona, przemyślana, głęboko odczuta kompozycja pejzażowa, kolorystycznie niezależna i indywidualna.

Oprócz krajobrazów, na swej ciekawej wystawie w dużej sali warszawskiego Instytutu Propagandy Sztuki (wystawa otwarta 15 b. m. trwać będzie niespełna 10 dni zaledwie) wystawia Kononowicz w kolekcji żułowskiej kilka interesujących portretów mieszkańców Żułowa związanych niegdyś z dworem żułowskim: Piłwinów, rybaka Masiewiczza, Marcjanny Masiewiczowej, niązki dzieci siostry Marszałka pani Kadenacowej.

Wystawa żułowska, będąca tak miłą i subtelną formą uczczenia imienia Józefa Piłsudskiego, nie tylko zbliża nas do wspomnień Jego najwcześniejszej młodości (a czyż bywają wspomnienia droższe i pełniejsze uroku, jak te właśnie z lat dzieciństwa), ale również prezentuje nam nowy, zupełnie dojrzały i świadomy swych celów talent malarzski.

To też niezależnie od sukcesu, jaki zdobędzie ze względu na drogi i bliski nam wszystkim uczuciowo temat, jest dużym sukcesem artystycznym autora pejzaży żułowskich malarza Zenona Kononowicza.

Antoni Wiczorkiewicz

FRANTIŠEK HALAS

przełożył JÓZEF CZECHOWICZ

## JESIEŃ NA WIOSNĘ

Czad wiosny dławi szalonego ptaka.

A ja dzieciństwem opętany w lesie, gdzie coś gra, zabijam cień, który zakrakał.

W haszczach i kuszczach brązowe żmije skry otrząsają z modnych niezabudek; w skrach zimorodek swoje gniazdo wije.

Tam konstelacje drobne w trawach świecą, węże, jak grzeszni w modłach, skórę swą zmieniają, skowronki w niebo melodyjnie lecą.

Zaprzyżądnimy się dziś z aniołami i chyba zagram sobie, chyba wspomnę, że mnie, Franusiu, wołano latami.

W kątach pamięci jest ta resztką raj, — anioł nie schodzi i znaków nie daje — a ja dzieciństwem pijany — drzewa grają...

Wreszcie, wzruszony, łkam, szlocham głuźąc; jak liście z drzew jesienią ciche słowa prószą...



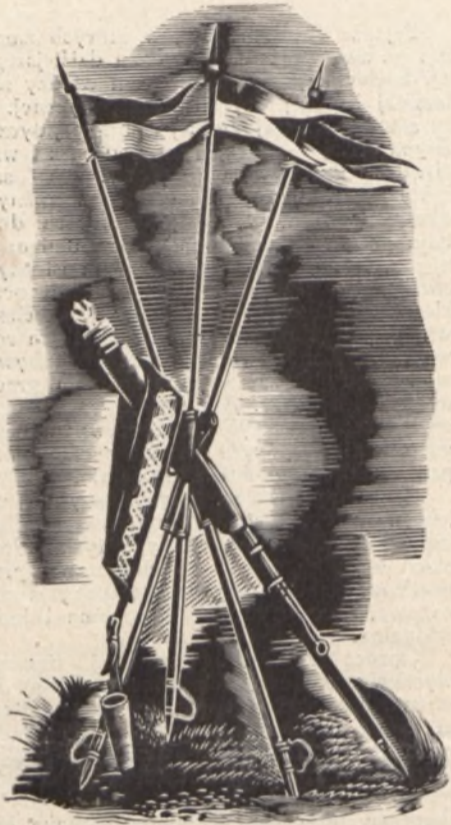
KAROL  
KRZEWSKI

## „PANA WOJENNEGO

## 1. PRZESTROGA.

Dwanaście pułków kawalerji polskiej, z którą obcy świat wojskowy liczy się dziś tak, jak rachował się z nią w ubiegłych wiekach, podążyło marszami z różnych stron Rzeczypospolitej ku Krakowowi. Tam w dniu 6 października r. ub. uczęła kawalerja rocznicę zwycięstwa wiedeńskiego, złożyła hold Sobieskiemu.

Rozkaz Józefa Piłsudskiego skierował na Kraków na dzień określony i godzinę wskazaną tyłu ludzi zbrojnych i konnych, ilu Rzeczpospolita szlachecka nie wystawiła w chwili niebezpieczeństwa, gromadząc taką liczbę z wielkim trudem po jakichś ciężkich targach.



W zdaniu tem niema przesady. Historia Polski znacząca tyłoma znakomitami zwycięstwami wojennymi nie ujawniła po dziś dzień istotnej cyfry zwycięzców, która zawsze była znikoma, zawsze — dla znających gruntownie historję dawnej Rzplitej — przerażająco mała... Historję Polski pisali zawodowi historycy, pośród których było wielu prawników, ludzie nie bardzo — a prawdę mówiąc — wcale nie zdający sobie sprawy ze stosunku siły wojska do jego liczebności. Historyk piszący o kilkunastu lub kilkudziesięciu tysiącach koni w bitwie Rzeczypospolitej szlacheckiej pali takie samo głupstwo, jak historyk wspominający o „rekonesansie” kawalerskim w 30.000 koni.

Wyznając, że należy do liczby tych, którzy bez frazesów, ale z głębokiego przekonania gotowi są bronić naszych historyków i historyków literatury z czasów niewoli za uprawiane przez nich „bronzownictwo”. Rozumiem też i to, że gdy historyk polski stykał się z piorunującym (bo kawalerskim) zwycięstwem, gdy nadto miał zawsze skłonność do znakomitego przesadzania liczby nieprzyjaciela — nigdy niełatwej do ustalenia, a już szczególnie w czasach dawnych — nie dziwnego, że dwoił i troił liczbę ludzi i koni po stronie polskiej. Obecnie rzecz się już przedstawia inaczej. Każdy historyk łatwo uzyska możliwość przyjrzenia się brygadzie lub dywizji kawalerji. Łatwo może poznać ich stan liczebny i przez porównanie zda sobie sprawę z tego — ile np. przestrzeni potrzeba do działania wielkich jednostek kawalerji, liczących w sumie trzydzieści czy sześćdziesiąt tysięcy koni, jakiego to „placu boju” potrzeba, aby podobna liczba ludzi zbrojnych a konnych runęła na przeciwnika liczebnie przeważającego, którego koniom także potrzeba ziemi pod kopytami...

Dla niejednego naszego historyka podobnie jak i dla powieściopisarza sto, dwieście tysięcy Tatarów — to... mucha! Ale Tatarów krymskich (bo byli i inni) mogło być co najwyżej tyłu ile Krym ich mógł zmieścić... Zapewne nie więcej...

Jeśli więc dziś historyk chciałby z powodu dawnych zwycięstw wypisywać oczywiste głupstwa na pobłażliwość już liczyć nie może.

## 2. „PALEJ”.

Skrzetuski z „Ogniem i Mieczem” był oficerem Wiśniowieckiego. Wymieniam nazwisko Skrzetuskiego, bo poznajemy go od razu w stepie. Mniejsza z tem czy zwał się naprawdę Skrzetuski czy Skrzetuski, czy był katolikiem czy też schizmatykiem, czy służył w chorągwi kozackiej Firleja. Znany nam do brze Skrzetuski sienkiewiczowski pełnił służbę w wojsku Wiśniowieckiego, rozrzuconem po jego „państwie” chorągiewami, skoncentrowanem dopiero w czasie powstania kozaków i ludu ukraińskiego.

Wiśniowiecki uchodził w morzu „czerni”, z kozakami na karku. Nadto, jak Mojżesz swoich Żydów z Egiptu, tak ks. Jeremi wprowadza — swoich.

Kozacy mieli zawsze opinję wojska niesforne, ale w boju był to lud „czuły” czyli czujny i „ognisty” czyli władający bronią palną wręcz znakomicie, o wiele lepiej od wojska szlacheckiego, które na dobrych z trudem kompletowanych koniach decydowało nie „ognistą” — palną, lecz „zimną” bronią sieczną. Ze ks. Jeremi uszedł z Ukrainy istny to cud!

Kto zaś w cuda wojskowe nie wierzy, temu pozostaje jedno przypuszczenie: Chmielnicki przymknął jedno oko, oko we łbie także polityka, na szybkie wycofywanie się Jaremy (bo i tak się pisał). Jakiekolwiek wyrachowanie miał w tem „Imię Pan buńczuczny kozacki Bohdan Chmiel”, „zdrajca” i „taki (wiadomo jaki) syn” — jak mawiali owi Baranowscy i Aksakowie, oficerowie Wiśniowieckiego — przeliczył się jaknajfatalniej, nie zamknawszy drogi zlaszałemu Rusinowi, okrutnikowi, doskonałemu dowódcy i człowiekowi niepospolitemu.

Wojsko Wiśniowieckiego, uzupełnione później, występuje jako „dywizja” jego imienia, zaprawiona do walki z kozakami i „czernią” znakomicie, zdolna nietylko do „wycieczek”, ile, do walki podjazdowej, do „małej” wojny.

Chorągwie Wiśniowieckiego odbijały się daleko od siły głównej, której wódz ten nie angażował i szczęśliwie, z mniejszymi lub większymi stratami, wracały po wielu dniach z lupami i potrzebnym „językiem”, ale bez jeńców, których nie „żywiły”. Jedna chorągiew z drugą nieraz same krwią broczyły i dosłownie ociekały krwią ruską. Cieszyli się w nich ludzie z każdego deszczu, a raczej każdą wodą niebieską się pocieszały. Ulewa zmywająca krew chrześcijańską z ziemi dowodziła, że wojna bratobójcza była sprawiedliwa.

Heremi (i tak się podpisywał Wiśniowiecki), zwany był cichcem już za króla Władysława IV, słowem „Palej”.

Na długo przed tym królem mawiano, że gdy Polak włośnie, Mazur zdworzeje, Rusin zlaszeje — djabłu nie ustąpią. Książę Hieronim — Jeremi (i tak się też podpisywał) djabły nie ustąpił, ale własnemu królowi — też nie. Chmielnicki uginał się przed Majestatem Rzeczypospolitej, Palej — nie! Trudno było o niepokornego wobec króla kozaka ale o magnata polskiego — łatwo.

Rozległe były te ziemie, któreimi władaly narody: polski i rosyjski (ruski — tak wówczas mówiono!). Na tych ziemiach nie znalazłbyś ni króla, ni cara, ni kanclerza koronnego, ni dumnego bojara, ni wodza, ni dowódcy, któryby nie wiedział kto to jest Palej i dlaczego tak się zwał. Jego to wspominał i wypominał słowem „politycznym” Chmielnicki, o nim będzie mówił zżęczny poseł carski Puszkin, a obaj go nazywali księciem Wiśniowieckim. I tak jak oni z Polakami rozprawiając, nie śmieliby tego słowa na wargi puścić, tak też i żołnierskich nie przeszłoby jego wyszeptanie, które dobiec mogło uszu Jaremy. Bo, zdawało się, że o wszystkim wiedział dzięki własnej przenikliwości, przez osobliwą o to staranność, z mądrą pomocą Jezuitów i zapobiegliwą Żydów.

Palej — znaczący tyłec Jo Jarema, ale gdy ten tytułował się księciem na Wiśniowcu i panem na Łubniach, wojewodą ziem ruskich,

a więc senatorem, gdy był „na ten czas hetmanem” lub komisarzem wojskowym, kiedy na ostatek był więcej, niż tem wszystkim, bo bożyszczem tłumu szlacheckiego: „Wiśniowieckim!” — Palej z ludzkiej wysadzany powłoki szedł nie jako cios, nie jako gniew, nie jako bicz boski i nie tak, jak kara co spada. Był ogniem żywe ciało liżącym i zniszczeniem — do wytępienia. Nie był śmiercią nagłą, jak uderzenie pioruna, lecz powolną, długą, nieustępliwą męką konania. Ow Palej wroga skłaniał do takiej obrony, że gdyby w taborze wozów łańcuchami spojonych bronila się miast kozaków wpędzona tam sama rozpacz, nie sprzedalaby się drożej, a swoich ludzi, żołnierzy twardych, nieraz srogich działaniem swoim pchał do spowiedzi.

Palili z rozkazu swego dowódcy po raz pierwszy w ziemi moskiewskiej, a później na ukraińskiej, którą za swoją mieli: siola, wsi, futury, pasieki, a puszczały nieraz z dymem puściuteńkie, psiego szczeknięcia pozbawione. Wycinali ludzi w pień. Wbijali na pal. Z nazwiska znał Wiśniowiecki nie żołnierzy lecz katów pośród nich, dogadzających wrogom na trzy dni konania. Rozkazywał: „Niech śmierć czują”. Świdrowali oczy popom „blachoczesliwym”, którzy kupy rozżartego chłopsztwa prowadzili, bo kozacy swoich mieli dowódców.

Im bardziej tamci brali górę, równie okrutni lecz dziksi, im bliżej byli środka Rzplitej tem bardziej Palej objawiał się Palejem. Stawali przed nim ludzie nie byle odwagi i wola: „Strach!”. Stawali przed nim kapelani: „Nie sposób rozżartować!” — mówili i blagali. Odsyłał ich do Warszawy, do Kisiela „przemudrego”, do „grafta”, do „barona” Ossolińskiego („co na weneckim stole uczył się wojować”), do sejmu, do króla — by mu wracali z wojskiem pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt tysięcy. Te cyfry uparcie powtarzał. Za jednym zamachem się wszystko skończy, miłosierdną szablą, bez ognia i tortur. Wojsko miało przybyć do niego, Wiśniowieckiego! 69 tysięcy wojska!

Gdyby dawna Rzeczpospolita, ta z czasów „Ogniem i Mieczem” mogła się zdobyć na taką liczbę już nietylko wojska, lecz zorganizowanego pospolitego ruszenia, zorganizowanego, a więc utrzymywanego w karności nie chęliby się kozacy, że będą poić konie z „Białej wody”. „Białą wodą” — zwali kozacy Wisłę!

## 3. „POSZEDŁ NA UKRAINĘ”.

Trzeba było dopiero Chmielnickiego, aby Rzplita szlachecka dociekła, że dojąc naprawdę ją może jakaś tam sprawa kozacka. Dla dawnej Rzplitej, dla Jej przeważnie i niestety malowanych królów bunt kozaków nie był pierwszorzędny, ani — do Chmielnickiego — zdarzeniem wyjątkowym. Tak zwane „transacje wojenne” między wojskiem koronnem Rzplitej a królewskim wojskiem zaporoskiem zdarzały się nie raz i nie dwa. Jak dziś, jak wczoraj i onegdaj dla czytelników „Ogniem i mieczem”, tak ongiś dla ogółu szlacheckiego były to sprawy dalekie. *Poszedł na Ukrainę* — toć to z kretesem zapomniane przysłówie (podobnie jak i takie: *Uciekł z bliska, bo z Kamczatki*), żywe ongiś w języku potocznym. *Poszedł na Ukrainę*, czyli znikł i zginął bez wieści. Jakże daleko od Łęczycy lub Białej na Ukrainę! Spory graniczne, sprawy rozważane na sejmikach, delektowanie się swoim „nie pozwalami”, wspieranie magnata co schlebiał szlachcie, oddawanie królowi tylko... tytułu na pozwie, nieplacenie podatków, unikanie służby wojskowej — to były dla ogółu szlacheckiego sprawy bliższe, a przeto i ważniejsze niż rogi kozackie na Ukrainie. Od tego był hetman z wojskiem kwarcianem, aby te rogi tarł i przycierał, no i król, bo zagadnienie kozackie było jego, królewską sprawą, ale nie Rzplitej. Król zaś miał wobec kozaków inaczej postępować, niż wobec narodu szlacheckiego. Rzplita stała grozą kary i nadzieją nagrody. Nagroda z ręki króla iść miała między panów i spływać na szlachtę. Grozą kary żyć mieli przy Rzplitej i w Rzplitej kozacy, jako poddani. Gorzkie to — jak wiadomo z całej literatury politycznej — i straszne słowo: poddany. Jeszcze w r. 1767 ktoś poradził w *Monitorze*:

„Na Ruski kraj alias Ukrainę trzeba mieć osobny wzgląd, czyli tamtych ludzi przy nadaniu wolności zaczynszować, czyli ich w poddaństwie zostawić. Tamten kraj choć niby w niewoli poddaństwa zostaje, zawsze jednak technie duchem zuchwałym, buntowniczym”.

Kozacy uważali siebie za wojsko króla. Buntowali się zaś przeciw Rzplitej szlacheckiej, którą wobec kozaków poczęła reprezentować władza hetmańska...

Batory był pierwszym królem, który zajął się sprawą Ukrainy, ale jej ani rozwiązał, ani uregulował. To też *bunty kozackie* wspierane przez *hajdamackie* (a należy odróżniać kozaków od hajdamaków) wybuchaly raz za razem.

Gdy trawa puszczała, licho się w kozakach budziło, na zimę spokój pewny.

Przed Chmielnickim Nalewajko z Lobodą i Sasiem zniszczyli dokumentnie trzy wodzostwa: kijowskie, braclawskie i wołyńskie. Spalili Mohylów.

Sahajdaczny Konaszewicz, wódz od Chmielnickiego niegorszy i nie gorszy, ale przedewszystkiem szczęśliwszy polityk lękał się sobie ważył wolę królewską, nie różniąc się w tem od niejednego pana polskiego.

I przed Chmielnickim był Zmoila. „Swawolili” przy nim kozacy jak chcieli. „Dokazywał” Tarasa pod Peczawiem. Był Pawluk Michnowicz z Skidanem i Tomitenką. Wpadli do Czerkas i wzięli tam działa jak swoje. Kazimienko napadł na Lubny. Ostranica znowu nawarzył nielada bigosu i dożebrał się Żolnina. Po nich pokazał się Karp Półtora Kozucha i Maksym Gulaka.

Licz a nie wyliczysz wodzów i dowódców kozackich, którzy do r. 1648-go zawsze z wielkim dla króla polskiego respektem państwo jego szarpali.

Po nich dopiero — a więc nie nagle — rozpoczął wojnę cieszący się uznaniem Koniępczowski, Bohdan Chmielnicki, który się podpisywał „przy pieczęci ręką własną” jako pisarz wojskowy i pułkownik.

To też znamy z djarjuszów zwyczajowe *Nagrobki* kreślone piórem „rycerstwu koronnemu”, a rozpoczynające się od słów:

„Jak śliczne słońce sprośna ziemia tłumi  
Tak szlachecką krew chłop nikczemny  
gromi...”

Albo:

„Wysoko zrodziwszy się mężnie umieracie,  
I zacych spraw przodków swych zatem  
dosięgacie”.

Ale nie takie *Nagrobki* krótsze lub dłuższe są znamienne, lecz owe kozakom rejestrowym stawione.

„Saletrą palelichmy, saletrą stawamy,  
Z takiej naszej zabawy, ten pożytek mamy,  
Iż wierni bylichmy; nie wstyd nas już  
będzie.  
Dając poklon królowi, upadniemy wszędzie”.

Kozacy rejestrowi i nieregistrowi — byli przecież wszędzie „zawzięci w uporze” i „krzywoprzysięgli”. Za takich uchodził w dawnej Rzeczypospolitej aż do szczególności imienia kozackiego. Królowie tej Rzplitej, ich kanclerze sądzili inaczej...

Dlaczego kozacy trwali w uporze? Dlaczego zawsze gotowi królowi oddać pokłon byli „krzywoprzysięzcami”? Czy byli nimi naprawdę? Sa to pytania i ważniejsze i pilniejsze dla dzisiejszego czytelnika *Ogniem i mieczem*, od tego czy Wiśniowiecki był czy nie był tchórzem.

Po komisji w Masłowym Brodzie kozacy się uspokoiłi t. zn. że uspokojono ich na lat kilka, spacyfikowano groźnie.

Książdz Szymon Okolski, który kaznodzieją był wojskowym a na rok 1637-y z jego dziejami własnymi patrzył oczami, zapisał, że „głupstwo chłopskie nie może być inakże, ale jednej przywary. *Serville bellum* gdy Erius Syryjczyk zaczął w Sycylii, wielką kupę ludzi zebrałszy, siela sobie obiecywał, a do tego po wielkiej części fortuna mu służyła... Wielokroć raził wojska rzymskie, ale na-



# NAM TRZEBA"

koniec jako lotr, złoczyńca, zbójca, więzieniem, głodem, kajdanami, palem dni swoje zakończył".

Stąd i Hezjod w rymie:

„Nader głupi kto więc z potężnym wojuje  
Męstwo i sławę traci i wszędzie szkodzi”...

Prawda, siadywali wodzowie i dowódcy kozacy w więzieniach i w kajdanach. Byli ścinani w Warszawie i nie w Warszawie, po sądzie i bez sądu, z przytaknięciem królewskim i wbrew życzeniu króla i powielokroć — co ważniejsze! — bez aprobaty hetmańskiej... Prawda, morzeni byli głodem i wbijani na pal sposobem dobrze im znanym, bo ich własnym, kozackim, a więc tak, że wiatr ukraiński na palu kośćmi kozackimi obracał jak kurkiem na kościele, a kościotrup osobliwy grzechot wydawał... Kozacy zaporozcy ośmielili się jednak — o! chamy! — Hezjodowi starożytnemu zaprzeczyć. Męstwa i sławy w boju nie tracili.

Świadectw mamy na to poddostatkiem i to zaświadczeń polskich, szlachecko-rycerskich, zawsze odmiennych od szlachecko-ziemiańskich (stary Koniecpolski, który kłął piękniej niż Ostroróg mówił — a więc już piękniej kłąć niesposób — wzywał w złą godzinę polspolite ruszenie od *ziemi!*).

Nader głupimi kozacy też nie byli, bo nie z potężnym wojowali. Nie była potężną ta Rzplita, która się Chmielnickiego doczekała i hetmanów w niewoli kozackiej, co już było szczytem triumfu kozackiego... I pilną jest rzeczą, aby czytelnik *Ogniem i mieczem* wiedział dlaczego nie była potężna, o wiele pilniejszą od wiadomości jak Wiśniowiecki wstał w fortunę.

*Ogniem i mieczem* jest lekturą bardzo pożyteczną. Niema w niej — to prawda — żadnej koncepcji historycznej, ale przedziejby Sienkiewicz wyłowić syrenę z Wisły, niż znalazł w ówczesnej Rzplitej kogoś, kto by realnie reprezentował myśl państwową, realnie t. zn. *działaniem* konsekwentnym i skutecznym.

Ale *Ogniem i mieczem* właśnie skłonić może niejednego czytelnika do tego, aby dociekl jak się to stało, że z pół-zbójów i z pół-pogan (zdobiących zresztą cerkwie) jakimi byli w istocie rzeczy kozacy, Rzplita szlachecka uczyniła fanatycznych obrońców wiary „błahoceśliwej” jak i do tego by się dowiedział, że po Batorym już wszystkie dumy kozackie tchną straszliwą nienawiścią do „Lachów”.

Otrzymywali kozacy od Batorego i od następnich królów „welyki dar podarok: bula-wa zolota, ta chirurgwa ze srybla, ta bunczuk z zerebca”.

A chcieli... choroby, tej na którą chorowali.

„Jakożby to chorobuju (miał ich obdarzyć Batory)? Czy nie swoboduju? ta jakby ot toju chorobuju, szo co swoboduju — jak czytamy w dumie: *To ne witer bujnij po stepach wije... — to usim nam towarzyszczam kozakom inszych dariv i ne treba*”...

Czegóż to Wiśniowieckiemu wytykać jakież zajazdy na swoich, skoro te zajazdy były poprostu zwyczajem, gdy jego klucze: lubieński, nieżyński, przyłucki i mirogrodzki składały się z tysiąca miast, siół, wsi i przy-siółków, a wszystkie wyrosły na ziemi kozackiej. Z tem wszystkim arcywątliwa a prawdziwą mową kłamiwa to rzecz by kozacy srozżyli się przeciw latyfundjom panów ukraiń-

skich, by ziemię im chcieli odbierać... Bronili się ludzie wolni przed hetmanami i pańszczyzną, przed losem „poddanych”...

I rzecz ciekawa: to kozacy pragnęli silnej władzy królewskiej. Chcieli jej bardziej od królów i zawsze słabych partyj dworskich.

#### 4. „KOZAKI SIĘ ZOWIĄ”

Zalety wojskowe Sycyzy zyniły z kozaków formację dla króla polskiego bardzo pożyteczną pomimo tego, że dzięki zarówno swojej karności, wyczajom i obyczajom i swojemu sposobowi wojowania nie stanowili kozacy nigdy wojska pewnego. Najwidoczniej też nie umiała ich Rzplita szlachecka użyć.

Nieprzyzwyczajeni do regularnego współdziałania z wojskiem polskim, związani byli kozacy nalogiem wojowania w terenie który znali, po szlakach tradycyjnych, nie znosili dłuższej wojny a już szczególnie działania w zimie, troszczyli się stale (i nie bez powodu) o swoje siedziby i nie ufali nikomu, własnym nawet dowódcom — nie.

Z dawną Rzplitą nie łączyło ich nic, owszem wszystko z nią ich różniło. Jedynym jasnym punktem w ustroju Rzplitej był dla kozaków król, a wiemy, że jasny ten punkt nie był ani ogniskiem władzy ani „świecą ciemnych” ni lojówką nawet dla poddanych. Gdy zrazu kozacy królowi polskiemu ufali, z czasem, pod koniec panowania Władysława IV nauczyli się królowi nie wierzyć. Królowie elekcyjni umieli obiecywać — tak samo Polakom jak i kozakom, ale by obiecanego dotrzytać na to ich nie stać było. Tak samo Zygmunt III jak Władysław IV, jak Jan Kazimierz nie byli ludźmi zdolnymi do wyprostowania spaczonoego ustroju państwowego.

Rzplita pozerana już dwoma fanatyzmami: religijnym i politycznym nie chciała i nie mogła zorganizować kozaków pod sobą, król nie umiał i nie mógł, choćby chciał, urządzić ich przy Rzplitej.

Ta jednak Rzplita, która dla kozaków nie była nigdy matką, uczyła ich wiele i nauczyła. Poznali silne Jej strony i słabe. Wcześniej niż zagranica — i cóż w tem dziwnego — dociekl, że zarówno potęga Rzplitej jak i władza Jej króla — to pozór. Ci co sobie ukuli przysłowie: „Cierp, kozaczko, będziesz hetmanem”, poczęli przy wrodzonej ufności w siły własne wierzyć na dobre i z kozacką chęlnością, że przewagę im daje nad Rzplitą szybkość mobilizacji i własny ich kozacki sposób wojowania paraliżujący impet kawalerji polskiej...

Chmielnicki znakomicie wyzyskał zalety kozaków, wzmógł je swemi pierwszemi piorunującymi i jakże efektywnymi zwycięstwami. Stan moralny pułków kozackich zawsze dobry, wzrósł potężnie przez rozwiniętą wiarę w szczęście wodza.

„Transakcje” wojska polskiego z kozakami zawsze krwawe, kończyły się stale dla kozaków źle. „Pokój” zaczynał się zwykle od wydawania dowódców. Taki był już zwyczaj kozacki. Paroma uroczystymi słowami tłumaczyli swoim dowódcom, że ich głowy uratują resztę kozackich, z czem się ci godzili z prawdziwą rezygnacją. „*Nehaj twoja holowa za wsi naszy holowy, praszczaj gospodaru!*”

Chmielnicki sam się dobrze pilnuje, dobrze był nadto przez zaufanych strzeżony (często czuwał nad nim cały pułk). Kozacy biją się pod nim świetnie i to nie oni już myśla o układach, które dawniej, przed Bohdanem, prowadzone były zawsze pod ich nieufną kontrolą. Układy prowadzi sam Chmielnicki, przestrzegając tylko zgrabnie zwyczajowych form kozackich.

Myślę, że (choćby ze względu na *Ogniem i mieczem*) warto przypomnieć to królewskie wojsko, które ciągle zwalczając władzę hetmańską — hetmanów do niewoli ku równemu zdumieniu co i grozie całej Rzplitej wzięło.

Zestawię parę rysów zaledwie i to jednostronnie gdyż mam na myśli jednocześnie szczuple wojsko polskie.

*Mobilizacja.* W porównaniu z wojskiem polskim kozacy mobilizowali się z szybkością błyskawiczną. Bez żadnej przesady. Gdy o część Sycyzy chodzi potrzeba jej było na mobilizację tyle czasu, ile trwałó spędzenie koni

z pastwisk. Mobilizacja kozaków dokonywana była z reguły pismami tajnymi „pod srogiem karaniem wojskowym”. Tam gdzie w grę wchodziło nie tylko towarzysztwo lecz i hajdamacy oraz czerń, gdy mobilizować się miało poza „królewskim” kozackim wojskiem także pospolite ruszenie (ludowe ukraińskie) wówczas w miejsca wyznaczone zjawiali się pułkownicy kozacy, legitymujący się „paszportami”. Takie „paszporty” miały piękne wsparcie: wojsko J. K. M. zaporoskie, traktujące „czerń to jest pospólstwo” zgóry i zgola niedemokratycznie. Dowódcami czerń stawali się hajdamacy, popi, djacy, kozacy zdrowia wątlęgo lub starzy na ochotnika lub nie wypróbowani dotąd w boju.

*Uzbrojenie i amunicja.* Zwracam uwagę na samopał. Bez konia i „zbroi” nie było kozaka. Stanowiły jedyną jego własność prywatną poza żoldem i łupem wojennym.

Jacykolwiek kozacy byli — tego zwyczajem się na wojnie trzymali. Po komisji w Masłowym Brodzie za niezapłacone, różnorakie a srodo krzywdzące dziesięciny zabierano kozakom osiadłym części uzbrojenia, a głównie samopala. Kozak pozbawiony konia lub uzbrojenia uważał, iż przestał być „człowiekiem” i chrześcijaninem. Dodajmy, że bronie na Ukrainie nigdy nie brakowało. Z artylerją kozacy nie bardzo wiedzieli co robić. Bronie tej nie lubili. Co do amunicji mieli jej kozacy poddostatkiem. Władysław IV uzbrajał bowiem kozaków przeciw Turkom.

*Zdolność marszowa.* „Wszystkich ludów żołnierze do prac i trudów wojennych dla miękości niezdatni, samych kozaków zaporoskich wyjąwszy — powiada słusznie Starowski — którzy w tym względzie wiele ze starożytnej wytrzymałości między sobą zachowali”. To też zdolność marszowa kozaków była ogromna. Marsz trwający przez całą dohę nie był dla kozaków nowiną. Samo „ciągnięcie” odbywało się we wzorowym porządku, gdyż kozak nagrodę zdobywał sobie sam, a była nią zdobycz wojenna, natomiast kara sroga za samowolę i niekarność czekała go natychmiastowa. Rzecz ciekawa: „ciągnięcie” kozaków nie przeciw wojsku polskiemu lecz razem z niem było gorsze. Marsze zaś wojska polskiego były niesforne i niepunktualne dzięki górze sobiepańskiej. Konie do marszów długich mieli kozacy włożone, sami zaś byli ludźmi wytrwałymi, twardymi jak z żelaza. Urodzeni kawalerzyści. Kozak „*ptakom stawia z czolowika, bo wzrys w kinskich stremenach*”. Marsze piesze przy koniach znosili łatwo długiemi milami.

*Tabory.* Kozackie tabory składały się z wozów niezbędnych. Po za wozami składającymi właściwy tabor bojowy, pojazdów nie znali żadnych. Obsługa taborów — skąpa i bojowa. Stalej kłęski wojska polskiego: czeladzi i pacholków kozacy nie znali. Pośród kozaków nie trudno było o zręcznych rzeźmieślników, to też nie gromadzili specjalnych w taborze. Kucharzowanie było swego rodzaju zaszczytem, to też kucharzami kozackimi byli tędy i wypróbowani żołnierze (rybę stawiali na wspólny stół głową do dowódców!).

*Zywność.* Rzecz najciekawsza i najważniejsza: kozacy, juźci, chleb jadali, ale doskonale obywali się bez niego. Cóż to za ułatwienie zaprowiantowania! Wystarczała im mamałyga lub *zahreby*, rodzaj podplomyków. Od biedy mógł być kozak własnym piekarzem. Rybę jedli gdy ją mieli. Trudno im było wyżyć bez kaszy jaglanej. Ilu ludzi można nakarmić wozem kaszy i jak ją przewozić by najwięcej ludzi wykarmić, tego intendenci dyplomowani mogliby się nauczyć od kozaków. Jadali barszcz z mąką żytnią zwany *teterą* (i *Teterą* nazwali jednego ze swoich dowódców). Aby móc ten barszcz wozić w beczkach gotowali go na gęsto. W pobliżu nieprzyjaciela rozrabiali gęstą *teterą* wodą i jedli na zimno nie rozpalając ognisk. Znali suchary. Tarli je na proch sucharowy i rozprowadzali kwasem z olejem i solą. Pożywienie to zwało się *turą*. Przepadał kozak za słoną *pastramą* (wędzone lub suszone części nóg baranich), którą woził w trokach. To kozakom w czasie wojny i wielkich „transakcyj” aż nadto wystarczało. „Chodziło im o pożywienie, nie o jedzenie” — jak ładnie napisał Gliszczyński.

Mieli też oczywiście i swoje jedzenie, ale łatwo się go na wojnach wyrzekali.

*Taktyka.* Znane są mi liczne głosy współczesne, że w działaniu wojennym kozaków nie było żadnej „sztuki”. Powtarzali te głosy jako swoje przekonania czy też poglądy nie którzy nasi historycy i... dobrze było. Taki

Rawita Gawroński jest jak gdyby urażony postępowaniem wojennym kozaków. Tu a tu zaatakowali wojsko polskie z tyłu, tam a tam zaskoczyli je, gdzieindziej wywołali popłoch. *Cóż porobisz?* z dawnymi naszymi historiami... Ani dokucać im, ani broń Boże, narzącać się nad nimi — nie godzi się. Jednego powinni dziś młodzi historycy unikać: wykipiania się z wojska. Wiadomości oficera rezerwy bardzo się bowiem przydadzą historykowi narodu polskiego, który był, jest i będzie narodem o wielkich cnotach wojskowych.

Kozacy celowali w ubezpieczeniu. Rodzaje służby ubezpieczenia znali znakomicie... Po dziś dzień możecie w wojsku naszym usłyszeć z ust oficera lub podoficera powiedzenia: „Spi jak kozak” lub „Czuja ma kozackiego”. Po dziś dzień! Czujność kozacka była przysłowiowa. Jednakowoż byli kozacy czujni w dzień jak i w nocy. Zdolność obserwacyjną mieli wyjątkową, dar dostrzegania — wrodzony. Konie kozackie (mało o nich wiemy, podobnie zresztą jak i o polskich) na podjazdach i w nocy nie rżaly. Próbowali się tej sztuki kawalerskiej nauczyć Polacy od kozaków, ale się nie nauczyli... Patrolowali kozacy tak, że lepiej nie trzeba. Sygnalizowali... umówioną ilością koni z punktu widocznego. Za wiadami posuwały się pułki od horyzontu do horyzontu szybko, nie wzniciając kurzu a przedewszystkiem cicho. Umieci się kozacy obracać w terenie dla kawalerji przykrym, trudnym i niewłaściwym: błota, woda, las, trzcina, sitowie... To jest najlepszym dowodem, że często gęsto z koni zsiadali. Hetmani polscy wiedzieli zresztą o tem dobrze.

Z organizacją wojska zaporoskiego związane było zawsze najprostsze i celowe działanie (a to jest właśnie „sztuka wojenna”). Unikali kozacy działania przeciw wojsku polskiemu na równinie, w walce spotkaniowej unikali też zderzenia. Dążyli do wypatrzania przeciwnika: obramnia i zachowania dla siebie najlepszych warunków terenowych.

A dalej: zdolni byli do walki pieszej i do wytrwałej ogniowej. W tem stanowczo górowali nad wojskiem szlacheckim.

„Kozak czuły i ogniasty” — oto jedno świadectwo.

„Kozak nawet po nocy na długość samopalu mierzy” — oto drugie piękne świadectwo o kozakach strzelających zbliżka nawet w nocy.

Istotnie nawet nocą działanie przeciw kozackiemu taborowi zawsze dobrze ubezpieczonemu, zszykowanemu na doskonałych stanowiskach, z łącznością utrzymywaną ku tyłom jeśli nie suchą nogą to wodą, na której kozak czuł się jak na ziemi — związane było z nielada trudnościami i z dużemi stratami, gdyż kozacy strzelali gromadnie, dużemi kupami, kierując się słuchem. Ludzie stepu tudzież lasowiki, obok bystrego wzroku, mieli słuch dzieci przyrody.

Chętnie się też imali przedsięwzięć nocnych. Na wypadki nocne szli chętnie. Jeszcze przed Chmielnickim znana była wojsku kozackiemu „Tarasowa noc” (od wodza kozackiego Tarasa, którego rozgromił Koniecpolski), w której więcej podobno wyginęło wojska polskiego niż za wojny szwedzkiej.

*Wyszkolenie.* Pomijając stale wartości wyszkoleniowe kozaków pamiętać należy, że Chmielnicki wyruszył z zastępami, które przygotowywały się przez dłuższy czas do wojny z Turkami, z polecenia Władysława IV. Ze kozacy otrzymywali pieniądze tylko na „czajki” — bajeczki to kanclerskie dobre na sejm. Na czajki potrzebne było kozakom drzewo i ręce... Nie na czajki otrzymywali pieniądze i nie z racji czajek docierał Ossoliński przez posły do kozaków, których poselstwa ścigał także do Warszawy.

D. c. n.





# KSIĘGA „ŚWIĘTA KAW

Jako pamiątka Krakowskiego Święta Kawalerji znajduje się wśród zbiorów Marszałka Piłsudskiego Księga zawierająca zdjęcia fotograficzne i teksty opisowe tego dnia. Zdjęcia zgrupowane i skomponowane w rozdziały, poprzedzielane są jakby kartami tytułowymi tych rozdziałów zdobnemi w drzeworyty St. Ostoi-Chrostowskiego. Jest to całość oryginalna i jedyna w swoim rodzaju. Poniżej podajemy reprodukcje drzeworytów St. Chrostowskiego z tej księgi oraz artykuł p. Niesiołowskiej-Rothertowej o jej stronie artystycznej.

Najwspanialszym holdem wobec wielkości jest dzieło sztuki, które ujmuje sprawy ludzkie w kształty wiecznego symbolu. Historia przemienia się w rapsody bohaterkie, postacie i zdarzenia otrzymują nowe życie w wizji artysty. Księga „Święta Kawalerji” w Krakowie 6. X. 1933 r. ofiarowana Marszałkowi Piłsudskiemu, powstała z głębi entuzjazmu i opromieniona świetnym blaskiem natchnienia posiada taką właśnie wymowę dzieła sztuki. Włanością Marszałka pozostanie ta zadziwiająca harmonia swojej architektury księga, której niepodobna oglądać bez wzruszenia.

Stanisławowi Ostoja-Chrostowskiemu powierzono ujęcie materiału literackiego i ilustracyjnego w artystyczną formę, która byłaby utrwaleniem przebarwnego widowiska i godnym wyrazem święta dwunastu pułków kawalerji, defilujących przed Wodzem w rocznicę dziejową odsieczy wiedeńskiej.

Kiedy bierze się księgę do ręki wyczuwa się odrazu, że pierwszą bezwarunkowo konieczną podniętą tworzenia było głębokie przeżycie emocjonalne i że nie przyszedł tu do głosu czczy formalizm, ale serce artysty. Proces twórczy przejść musiał długą drogę od treści wewnętrznej do jej wyrazu materialnego, ucieleśnionego głównie w cyklu drzeworytów o niezwykle wysokim poziomie artystycznym. Ogromna ilość, jakgdyby powódź zdjęć fotograficznych, starannie naklejonych na kartony, daje wierny przegląd uroczystości krakowskich; głosy prasy, piękniejsze artykuły, przemówienia i odczyty, związane z dniem 6 października 1933 r., złożone na wykwinym papierze z pełnym poczuciem estetyki drukarskiej, działają na wyobraźnię za pośrednictwem słowa, ale rytm wewnętrzny i sylweta Księgi wyrażone zostały dopiero przez piętnaście drzeworytów koncentrujących nastrój. Nadzwyczaj ciekawe jest zestawienie zdjęć, bardzo pięknych i wiernych, które dostarczyły artyście materiału sytuacyjnego, z drzeworytami; jest to stosunek podobny do źródeł historycznych i utworu poezji, z nich wysnutego, fantazja stworzyła nowy świat, gdzie rządzi prawo formy, melodji, światła i barwy. — Drzeworyty dominują nad powodzią fotografii i określają ton całości przedewszystkiem dlatego, że są uczuciowo — plastyczną syntezą poszczególnych momentów.

Ideologia Księgi przejawiała się jasno w kompozycji okładziny, którą zdobną wytłoczone w pysznej czerwieni skóry, orzelki strzeleckie, wiążąc chwilę obecną z pamiętnym sierpniem, gdyż z Błoni Krakowskich wyruszyła pierwsza Kadrówka. O przeznaczeniu Księgi Pamiątkowej mówi wykonana w drzeworycie wyklejka, patetycznym akordem otwierająca dzieło; na prostokątnych polach krzyżuje się tam buława Mar-



szalkowska, inicjały Marszałka, a obok orły polskie i herb Piłsudskich — Koście-

Najwidoczniej celowo nie wprowadził Chrostowski akcentów historycznych z e-

poki Jana III, ale jako głos przeszłości przemawia pierwszy duży drzeworyt, — wizją krążanków wawelskich i dziedzińca, na którym rozpoczyna się turniej. Echo wieków odzywa się także w obrazie bramy

Florjańskiej, przez którą ciągną pulki na uroczystą rewję i w precudnem opracowaniu baszty — Kurzej Stopki. Ilustracje połączył artysta z napisami, które zaznaczają epicki ton cyklu, a zarazem są no-



# „KAWALERJI” W KRAKOWIE



zmiernie ważnym osiągnięciem. Od kreski prawie schematycznej, białej na czarnym dąży Chrostowski do największej różnorodności kresek, jako środka wzbogacającego wyraz rytmu i jego siłę nastrojową. Przejściami od jednego systemu kresek do drugiego, przeciwstawieniami czarnych i białych plam, które zazwyczaj przechodzą w szarości o różnym natężeniu, osiąga artysta niezwykle kontrasty wrażeń i wzbogaca fakturę drzeworytu. — Te właśnie osobliwe przeciwstawienia szeregów kresek o swoistym, coraz to innym timbrze wywołują emocjonalne efekty kolorystyczne, które zespolone są najsilniej z umiłowaniem kreski niemal kaligraficznej, obustronnie opracowanej, wyostrzonej i wyszukanej w swoim wyrazie. — Inwencja w kierunku stalego rozwijania technicznych możliwości pozwala artyście znaleźć zawsze odmienny charakter kreski dla różnych ilustracji i potęguje poczucie prawdziwości, zrozumienia drzeworytów, pomimo tak wyrafinowanej i dekoracyjnej formy.

Drzeworyty Chrostowskiego znamionuje usilnie pragnienie, aby wyzyskane zostały wszelkie możliwe środki ksylografi i przeniknięte najgłębsze tajniki ryłca i bukszpanowego klocka.

Przykładem wyjątkowej barwności, jaką można wydobyć z neutralnej gamy białoczarnej — jest drzeworyt, przedstawiający chwilę przyjazdu Marszałka autem na Błonia, sylwetkowym traktowaniem postaci podkreślił Chrostowski zjawiskowość obrazu i tem mocniej przeciwstawił fotografii; przez zróżnicowanie kreski uwydatniły się cechy przedmiotów, cechy materiału, a więc ciężar ziemi, lekkość nieba, puszystość trawy i masa budowli kamiennej! Przejrzystość kompozycji, obok malarskiego tonowania występuje w obrazie Marszałka, przyjmującego defiladę. Jedną postać odosobnioną, rysującą się wyraźnie na białym tle, skupia wszystkie linie, wszystkie kierunki kompozycji; sylwetka pułkownika Warthy w malowniczym stroju podhalańskim oraz konna postać generała Orlicz-Dreszera przy trybunie — równoważą pierwszy plan, w drugim jaśniejszym, o przeróżnych odcieniach szarości i bieli, ciągnie szereg pułku, raczej przebiega, tak lekko zaznaczony został wibrująca kreską.

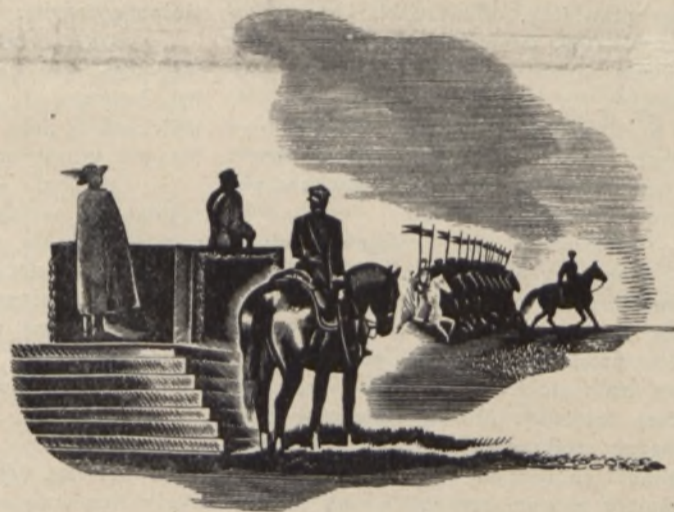
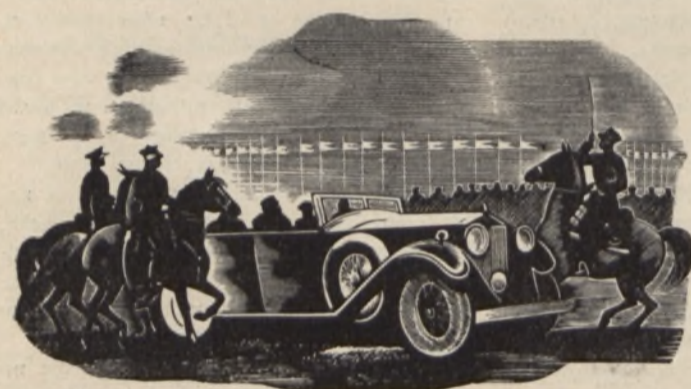
Po raz pierwszy zajął się Chrostowski formami architektonicznymi w drzeworycie: wykazał prawdziwe mistrzostwo techniki, oraz fantazję w modelowaniu światła i cienia. Dążenie do niezamykania drzeworytów, które najczęściej bezpośrednio wnikają w tło a jednocześnie związane są w mocną jedność konstrukcyjną, sprawia wrażenie lekkości i siły.

Bardzo pomysłowe winiety zdobyły część literacką Księgi, a mianowicie: opisy uroczystości ilustruje drzeworyt o motywie poważnych i ciężkich ksiąg, zaś odgłosy prasy ogłoszone zostały przez arkusze rozwinętych lekkich gazet.

Księga otrzymała wspaniałą oprawę, kunsztownie wykonaną przez Zofję Dębicką.

Postawa uczuciowa twórców i głębokie przeżycie symbolu sprawiły, że Księga „Święta Kawalerji” stała się wielkim dziełem o nieprzemijającej wartości kulturalnej.

Dr. Zofja Niesiołowska-Rothertowa



wym elementem dekoracyjnym i dyskretną czerwienią druku potęgują walor kolorystyczny strony.

Bohaterem rewji był żołnierz i koń, a w ilustracjach Księgi te dwa tematy otrzyma-

ły świetne ujęcie dzięki harmonijnej współpracy Chrostowskiego i Michała Byliny, który jest dzisiaj reprezentantem wielkiej tradycji polskich malarzy konia. Pełne rozmachu i romantycznego życia konie, ry-

sowane przez Bylinę, złączyły się z dekoracyjnością Chrostowskiego i uzyskały nową drzeworytową ekspresję.

W rozwoju twórczości autora „Ucieczki do Egiptu” ostatni cykl krakowski jest nie-



## DJALOGI AKADEMICKIE

## NON OMNIS MORIAR

## ROZMOWA Z TADEUSZEM ZIELIŃSKIM

W półmroku filologicznej pracowni, w otoczeniu tekstów, które swym dwudziestowiekowym istnieniem stwierdzają dumną zapowiedź: — Non ero, terra, tuus!, pro-rocze słowa o trzecim Odrodzeniu brzmią szczególnie przekonująco.

— Antyk jest nieśmiertelny i nie przeżyje się nigdy — oświadcza z mocą profesor Zieliński. — Wprawdzie przychodziły okresy, kiedy kultura europejska traciła z nim żywy kontakt, lecz po tych okresach, na cechowanych jałowością idei i bezradną gonitwą myśli, następowało ponowne odrodzenie antyku. Pierwsze, to Renesans rozkwitający na romańskiej ziemi, drugie, o cztery wieki późniejsze, to nehumanizm, zrodzony na germańskim podłożu. Słusznym wydaje mi się przeto, że odrodzenie trzecie przyniesie światu słowiańszczyzna.

— Czy pan profesor dostrzega już jakieś znaki na niebie literatury polskiej, wskazujące jutrenkę tego nowego, naszego renesansu?

— Nie, proszę pana, terminu odrodzenia nie przepowiadam, wierzę tylko, że musi nastąpić. I będzie to odrodzenie słowiańskie a nie spejnalnie polskie, jak pan może mylnie zrozumiał.

— Nie identyfikuję rzecz prosta tych pojęć, lecz jeśli mowa o odrodzeniu kultury antycznej na gruncie słowiańskim, to mimowoli nasuwa się myśl o Polsce, której zarówno przeszłość jak i terażniejszość wyznacza pod tym względem przodującą rolę. Czyba pan przynajmniej, że współczesna Rosja, Rosja bolszewicka nie jest głębią pod zasiew antycznego ziarna.

— W Rosji może wszystko jeszcze ulec zmianie... Powtarzam: Nie prorokuję żadnej daty.

— Lecz czyż te węzły, jakimi historia sprzęgła naszą kulturę z antyczną o wiele silniej, niż dajmy na to rosyjską, nie pozwalają z większym prawdopodobieństwem przypuszczać, że... — i urywam. Jaką wartość będzie miał ten komunał dla uczonego, szukającego nowych oryginalnych dróg!

— Przypuszczać zawsze można — mówi zwolna Zieliński — Ale niech pan pamięta, że najistotniejszym węzłem łączącym a ł a Słowiańszczyznę z kulturą antyczną to nasza religia, dla której właściwym Starym Testamentem, jest religia grecko-rzymska.

— Jeśli zaś mówię n a s z a, to mam na myśli zarówno katolicyzm jak i prawosławie — dodaje i spogląda pytająco.

— Chce pan przez to powiedzieć, że emocjonalny charakter, łączący te obydwa wyznania w przeciwstawieniu np. do protestantyzmu jest ich wspólnością bardziej istotną niż dzielące różnice dogmatyczne.

— Niewątpliwie. Zwłaszcza, że przecież chodzi o jeden, abstrakcyjny dogmat, którego i tak nikt nie rozumie. Nawiasem dodam, że katolicyzm zyskuje sobie wśród intelektualistów rosyjskich wielu zwolenników. Przyjął go poeta Iwanow, o którym niedawno pisałem w „Pionie”; skłaniał się ku niemu i słynny filozof Solowjew.

Wprawdzie problem religijny zaciekawia mnie mocno, postanawiam jednak dla zasady trzymać się raz wytkniętego p i o n u.

— Lecz skoro nie da się wyróżnić, któremu ze słowiańskich narodów przypadnie przodownicza rola, może przynajmniej przewiduje pan charakter trzeciego odrodzenia.

— I to byłoby już hariolacją.

Lecz tym razem się upieram.

— A może tylko ekstrapolacją, panie profesorze. Czy odmienny charakter dwóch pierwszych Odrodzeń, Renesansu i Neohumanizmu nie znajduje częściowego wytłumaczenia w etnicznym gruncie na jakim wyrosły?

— Owszem. W pewnej romańskiej skłonności do retoryki naprzykład... Retoryki w najlepszym znaczeniu tego słowa.

— I germańskim upodobaniu zum Naiven und Sentimentalen — wtrącam.

— Poniekąd... Zresztą na neohumanizmie

zawazyły ogólne prądy tej epoki preromantycznej.

— A więc zgadza się pan profesor, że podłoża etniczne i tendencje danej epoki kształtują w pewnej mierze charakter każdego razowego odrodzenia?

— Niech pan też nie zapomina o stanie nauk filologicznych.

— Będziemy więc mieli trzy czynniki. Z tych dwa niewiadome — tendencje epoki i rozwój filologii; pozostaje trzeci, znany — psychika grupy etnicznej, która ma zrealizować odrodzenie. Jakaż więc zdaniem pana profesora z cech kultury antycznej będzie najsilniej apercypowana przez słowiańską duszę, najsilniej do niej przemówi i nada w ten sposób charakter trzeciemu odrodzeniu?

Odpowiedź padła równie zdecydowana jak krótka.

— Mistycyzm.

— A więc grecka kultura czy literatura odegra główną rolę?

Lecz tego wieczora nie mam szczęścia do ekstrapolacji.

— Niekoniecznie, niekoniecznie — odpowiada Zieliński. — Zarówno grecka jak i rzymska.

— Lecz w takim razie któremu z rzymskich pisarzy przyjdzie szczególnie orędowniczym trzeciemu odrodzeniu? U któregoż spotykamy ów mistycyzm? U Wergilego...?

— U wszystkich, proszę pana, u wszystkich.

Przebiegam w myśli klasyczny poczet:

— Cyzero...

— Czemuż nie? — przerywa profesor. —

Nie przeczę, że religijność jego taka jaka się nam odsłania w większości pism, ma charakter prawniczy, obywatelski. Lecz są w życiu wielkiego mówcy momenty, kiedy pod wpływem silnych wstrząsów psychicznych, radosnych czy bolesnych, odzywa się w nim to, co nazywam „głosem z otchłani” — mistyczna wiara. Ona dyktuje mu zakończenie trzeciej Katylinarki i niesie pociechę po śmierci ukochanej Tullii.

— U Horacego znów — ciągnie po chwili — spotykamy psychiczny przełom, który przypomina mi żywo nawrócenie świętego Pawła, Poeta, podkpiwający w swych Satyrach z prostodusznej wiary gnatyjczyków, utracca ten żartobliwy ton wobec majestatu groźnej przyrody. Milkną materialistyczne argumenty epikurejskiej szkoły a odzywa religijność chłopięcych lat, zasluchanych w tajemniczy poszum apulijskich dębów.

Nieszczodry bogów czciciel, ich rzadki gość Jak długom błędził wątlej mądrości rąb Zmuszonym wspan obrócić zagłę I porzucone odnaleźć tory.

Gdyż Jowisz ten, co bryły zazwyczaj chmur Piorunem jasnym swoim rozbija, dziś po czystym niebie grzmotne konie pędził skrzydlate niosący rydwan.

Sluchając tych bezrymowych, łaciński metr przestrzegających wierszy, pomyślałem, że brzmią znacznie lepiej w recytacji profesora Zielińskiego, niżby się można spodziewać, czytając je.

— Otóż dawniej w tej odzie — ciągnął — dopatrywano się żartobliwości. Dziś prze-ważył pogląd Heinzego i widzimy w niej zupełnie szczerą i poważny wyraz uczuć i wiary poety.

— Lecz u Owidjusza chyba będzie trudno dopatrzeć się mistycyzmu? — rzekłem już teraz dość niepewnie.

Zieliński uśmiechnął się dobrotliwie, przywołując mi na myśl ów wiersz Eneidy: „Z uśmiechem do niej bogów i ludzi rzekł rodzic”.

— Rzeczywiście erotyzm Owidjusza mało ma wspólnego z mistycyzmem; w tych jego Zalach z Pontu też go nie spotkamy, ale niech pan sobie przypomni zakończenie Metamorfoz.

Przypomniałem sobie. Przywiodło to nas do pitagorejczyków. Profesor zaczął opowiadać interesujące szczegóły o tej „maso-nerji starożytności”, posądzanej o tajemnicze

i występne praktyki o intrygującej postaci Nigidiusa Figulusa, o sybillińskich wyroczniach i fatalnych datach historii rzymskiej znaczonych wojną domową, porubstwem Westalek i spiskiem Katyliny.

— To wszystko znajdzie pan w drugiej części „Religii Rzeczypospolitej Rzymskiej” mającej się ukazać lada dzień — i z temi słowami podaje mi rewizyjne arkusze ostatniej swojej książki.

Zwracam uwagę na „misyjny” charakter prac, w których profesor Zieliński ma nie tylko cele naukowe na oku, lecz równocześnie, jak odnoszę wrażenie, pragnie przygotować grunt pod słowiańskie odrodzenie. Mój interlokutor nie zaprzecza. Nietylko książki służą mu do tego celu. Z radosną i słuszną dumą wspomina o swej przedwojennej „misyjnej” działalności. Wykłady jego w Petersburgu ścigały rzesze słuchaczy, o jakich nie mógł uprzednio zamarzyć żaden z filologów.

Tylko tych cyfr niech pan nie podaje — zastrzega się. — Propria laus...

Posłusznie więc ich nie wymieniam, ale i bez tych statystycznych danych wiemy doskonale, kto pierwszy odkrył oczom rosyjskim walory antycznej kultury i obudził dla niej szerokie zainteresowanie.

— Mam wrażenie, że i praca pana profesora na terenie Towarzystwa Umieździarodowienia Łaciny, łączy się z tą działalnością jako hodopoiety Trzeciego Odrodzenia?

— No, to już może nie tak ściśle. Choć naturalnie pewien związek zachodzi.

— A czy nie wziął pan jakiegoś udziału w sprawie nowych programów szkolnych.

— Nie, proszę pana. Od tych kwestii stoję nieco dalej.

Przypominam sobie pańskie zdanie wypowiedziane w obronie szkoły filologicznej. Twierdzi pan, że wychowawcze walory takiej szkoły leżą w tem właśnie, że stwarza ona utrudnienia dla ucznia.

Tak jest. Oświadczyłem, że łatwa szkoła jest socjalną zbrodnią. Zdanie to znalazło szeroki oddźwięk na Zachodzie. Doceniam w całej pełni wartość utrudnienia naturalnie owocnego przytem. Pod tym względem muszę uznać pewne walory historycznych.

Jednym słowem nie jest pan profesor zwolennikiem „życia ułatwionego”?

Nie, proszę pana. Jestem zdania, że kulturę tworzą tylko ludzie zahartowani — nigdy rozpieszceni.

Mam wrażenie, że i pojęcie humanitaryzmu, który pan profesor uważa za jedną z głównych wartości kultury antycznej, nie pokrywa się z pojęciem spopularyzowanym u nas ostatnio przez Slonimskiego.

Nie znam tak dokładnie artykułów pana Slonimskiego, bym mógł wydawać na poczekaniu sąd. W każdym razie nie identyfikowałbym humanitaryzmu z pacyfizmem.

Slonimski stał się przypadkiem stacją węzłową z której przesiadaliśmy się w kierunku literatury polskiej. Zieliński mówi o niej z sumienną ostrożnością uczonego, który tylko czasami zachodzi na ten teren. Ma słowa gorącego uznania dla Paradowskiego i Morstina. Przy tej sposobności wszcząłem dyskusję na temat różnicy między twórczością wypływającą z ducha antycznego a erudycji klasycznej. Lecz i ta kwestja została sub iudicibus.

Z moich kolegów akademickich bardzo wysoko cenię Berenta i Szaniawskiego — oświadczył Zieliński wciągu dalszej rozmowy.

Skoro już wspomnieliśmy o Akademii — zapytałem — to może pan profesor zechce wyrazić swój pogląd na zadanie tej instytucji.

Akademja moim zdaniem — odparł Zieliński — powinna przede wszystkim dbać o czystość i bogactwo języka.

A więc zadania podobne jak Akademii Francuskiej?

Zasadniczo tak. Tylko tamta w praktyce źle się przysłużyła sprawie języka —

zubożyła go bowiem. Nasza Akademia powinna się troszczyć o utrzymanie stanu posiadania i wzbogacenie go. I to nietylko w zakresie leksykalnym ale i morfologicznym.

Morfologicznym?

Tak jest. A więc naprzykład powinna ochronić niepotrzebnie tępną stronę bierną.

Zachowanie morfologicznego stanu posiadania rozumiem, ale jak pan profesor wyobraża sobie wzbogacenie go?

Choćby przez wprowadzenie zatraczonej odmiany imiesłowu przeszłego, posiadanej jeszcze przez język rosyjski; a więc bywszy, bywszego i t. d.; należałoby też utworzyć imiesłów przyszły na wzór participium futuri łacińskiego.

Imiesłów przyszły! Zaden z języków słowiańskich nigdy go nie posiadał. Przy najmniej nie jest zaświadczony w żadnym z zabytków.

Ale można go utworzyć.

Dawny uczeń Rozwadowskiego, Łosia, Nitscha w osłupieniu czekałem na wyjaśnienie mi tej nowej formy.

Ale jak? Ale jak?! — panie profesorze.

Bardzo prosto. Od czasownika dokonanego, którego praesens ma znaczenie czasu przyszłego. Na jednym z cmentarzy widnieje napis: Resurrecturis — tym, którzy mają zmartwychwstać. Ja to tłumaczę zmartwychwstanącym.

A więc morituri te salutant, to umrą cię pozdrawiają?

Nieinaczej. Wydaje się to panu dziwne? Wszelka nowość językowa wydaje się dziwna; trzeba do niej tylko ludzi przyzwyczaić i wszystko wtedy jest w porządku.

Reformatorka językowa profesora Zielińskiego wydała mi się bardzo śmiała, lecz że jestem wrogiem przesadnego puryzmu językowego a z lat uniwersyteckich wyniosłem często powtarzane przez Rozwadowskiego zdanie: „Można i tak”, więc pragnę się przyzwyczaić począłem w myśli gryźć tych zmartwychwstanących i umrących. Zieliński tymczasem ciągnął dalej:

Do zadań Akademii mogłoby też należeć oddziaływanie na twórczość literacką, lecz skuteczność zabiegów w tym kierunku wydaje mi się bardzo problematyczna ze względu na szczególną wrażliwość panów literatów.

A jak się pan profesor zapatruje na rozciągnięcie cenzury nad tłumaczeniami, proponowane przez Irzykowskiego.

Sprawa bardzo ciężka. Wchodzi w grę prawo własności.

Ależ panie profesorze — wybuchnąłem — ograniczenie handlu narkotykami jest też targnięciem się na prawo własności.

Zasadniczo ma pan rację. Przypomina mi to moje dyskusje na temat trucicielstwa w literaturze z Lempićkim. Spotkałem też u Sienkiewicza w Listach zdanie, że nawet rzeczy niemoralne mogą być uznane, niedopuszczalne jednak są rzeczy doprowadzające czytelnika do młodości. Ale ktoś przeprowadzi taką cenzurę? Ułomny i omylny człowiek? Czy Duch Święty ma zstąpić z niebios w tym celu?

A jeśli chodzi o działalność Akademii — nazwijmy ją stypendjalną, to przypuszczam, że jako zwolennik życia nieulaźwionego, nie kładzie pan profesor na nią szczególnego nacisku.

W miarę fundusów, owszem. Nagrody literackie... Niedawno właśnie ją przyznaliśmy. Nie wysuwałbym tego jednak na pierwszy plan.

Nie sądzi więc pan, że wydatniejsze mecenastwo jest najprostszym środkiem podźwignięcia literatury?

Mówi o tem Martialis: Sint Maecenas, non decenter, Flacce, Marones — Byli by byli Mecenas, nie zbraknie, Flakku, nam Maronów. Ale ten pogląd wydaje mi się mocno usyplifikowany.

Stefan Essmanowski



# UWAGI

## Morderca Marji Stuart

Usiadł na gruzach Grenady, kopnął jeszcze raz zwłoki Almanzora, zamachnął się piórem jak toporem i — ściął głowę Marji Stuart.

Kto? J. N. Miller w recenzji z „Marji Stuart” Fryderyka Szyllera. I przytacza dwie racje. Najpierw: „Racja historyczna przemawia jednak na korzyść Elżbiety, która, ścinając Marję, wyrwała zarazem Anglię z sił i pięć papizmu”.

To jest historjozofja: post hoc, ergo propter hoc. Taką historjozofją posługują się dawny mistrz Millera, Emil Zegadłowicz, gdy w „Betsabie” rozgrzesza króla Dawida z cudzołóstwa i mordu (sprawa Urjasza), ponieważ w łańcuchu pokoleń ma się z tych zbrodni narodzić Jezus Chrystus. Miller może nie widzi, że chyba mimowoli, usprawiedliwia wszelkie zbrodnie, płynące z t. zw. racji stanu, od Abrahama i Dawida aż po dzień dzisiejszy. Może nie widzi — ale ja go podejrzewam, że widzi, tylko tak ponośzą go jego perspektywy uniwersalistyczne.

Druga racja nazywa się: „w chwili gdy”... Mianowicie wobec o wiele bliższej nam i aktualniejszej tragedji bohaterkiego wodza Schufzbandu Wallischa i tow. „głowy dy nastów i władców tego pokroju”, co Marja Stuart, wydają mu się „tanie”. Dziwne wyznanie jak na krytyka i bardzo dzisiaj pospolite mieszanie instancji. Gdy się jest w teatrze, piorun teatralny powinien być ważniejszy i „bliższy” od piorunów prawdziwych, szalejących poza teatrem. Ale p. Miller chciał manifestacyjnie wyrazić swoją część dla ofiar rewolucji wiedeńskiej. Zrobił to jak najniaktowniej i jak najtaniej. Cienie Wallischa i tow. nie wymagają tego, żeby dla nich kto zarzynał cię Marji Stuart — na papierze. Ale p. Miller zwykł swą tkliwość objawiać w ten sposób, że ktoś musi przytem coś oberwać. (np. w Irzykowskiego wali Strugiem). To jest słonimsczyzna, która w nim buszuje.

## Armata strzelająca słowami honoru

Rzadko można w „Wiadomościach Literackich” spotkać się z analizą literacką; trzeba było aż nienawiści p. Slonimskiego do Pol. Akademii Literatury wogóle a do prof. Kleinera jako „belfra” w szczególności, aby protagonista tego pisma dał próbkę swych zdolności analitycznych (nr. 535 uwagi o „Mickiewicz” Kleinera). P. Slonimski ma jeszcze ze szkoły dziecinny uraz do „belfrów” i dotychczas nie zdołał się spod niego wyzwolić. Ledwie zacznie czytać jakąś naukową książkę o literaturze, zaraz mu się przypominają dwójce, które brał w VII klasie i zgrzyta zębami. „Belfer”, „belfiarstwo” to jeszcze najslabsze wyzwiska, jest jeszcze „pachciarz”, „hajdurzy” i t. p. Tym stekiem grubiaństw bierze sobie p. Slonimski odwet za swój wysiłek. Prócz tego, aby kontynuować piękną skamandrycką tradycję, w ślad za Lechoniem, zamiast argumentów daje słowa honoru.

Ja również, daję słowo honoru, że zarzuty p. Slonimskiego są blahe, małostkowe i sztabackie. Aby w pełni ocenić dzieło zakrojone na taką skalę, jak „Mickiewicz” Kleinera, mało kto jest kompetentny, i to jest prawdziwa tragedia historyka literatury; my, nie znawcy, zdani jesteśmy tylko na wyszczypywanie szczegółów, ale to nie jest żadna krytyka.

P. Slonimskiego, choć wysiła się na obiektywizm, irytuje najwięcej to, że ktoś chce się zapuszczać w drobiazgi literackie, dotyczące Mickiewicza, w rolę np. głosek „e” i „u” w jednym z jego wierszów. Snać nigdy nie czytał analizy Fetuda, snać nie wie, że właśnie dziś nikt już nie pogardza temi sprawami, bo dla badacza drobiazgi mogą być bardzo ważne. Wskażę na doskonale analizy krytyczne Zawodźńskiego o najmłodszej poezji polskiej, na wzajemne analizy pisane przez poetów „Nowej sztuki”, a choćby na analizy Okulowa Podhorskiego o samym Slonimskim. Kto dziś ważności takich badań nie czuje, jest barbarzyńcą, choćby siedział na nieomylnym stolcu Kroniki Tygodniowej „Wiad. Lit.”.

„Ale o co mu w gruncie rzeczy chodziło? Jakie są pozytywne żądania p. Slonimskiego? To mimochodem wyjaśnia następująco ustęp:

„Albo więc wchodzi się w życie prywatne poety, i wtedy chcemy wiedzieć rzeczy naprawdę ważne i systematycznie przemilczane (podkreślenie K. I.), albo proszę nas nie nudzić trzygroszową crudycją, że...”

Teraz już wiemy, o co i o kogo chodzi. O brak pewnych poklonów, — ten sam brak który p. Slonimski zarzucił p. Pomirowskiemu. To dopiero jest naprawdę klikostwo!

I dla tej marnej satysfakcji zarzucać komuś, co życie swe poświęcił literaturze, że się nie zna na poezji! Czy dla literata może

## DYSKUSJE

### PETRYFIKACJA

Mogę powiedzieć bez przechwałek, że jestem bodaj jedynym literatem, który przy rozmaitych okazjach zwraca uwagę czytelnika polskiego na rolę Zygmunta Wasilewskiego w naszej literaturze krytycznej. Zawsze dziwiłem się, jak dalece ten świetny pisarz pozostaje w cieniu, jak bardzo zagłusza jego cichy ale z głębi przekonania płynący głos lada wrzaskun, lada tandeciarz dziennikarski, lada firmowa „gwiazda” literacka czy krytyczna. Wasilewski jakgdyby nie istniał dla własnego obozu. Zdawkowe uznanie, zdawkowe recenzje, zdawkowe pochwały — oto czym go darzy stronnictwo, któremu — ku widocznej szkodzie swej działalności krytyczno-literackiej — oddał najlepsze siły.

Wasilewski — to dla mnie typowy wypadek wybitnego talentu krytycznego. Właśnie talentu. Obdarzony wyjątkowo czułą wyobraźnią, niezwykłą umiejętnością wczuwania się nietylko w stany wzruszeniowe pisarza, ale docierający do głębszego podłoża tych stanów, umiejący wysłuchiwać — niby ródźkarz bijące pod ziemią źródło — związek przeżyć twórcy z nurtem życia narodu, z przyrodą, tradycją, epoką. Ciekawa jest w Wasilewskim ta wizjonerska zdolność odtworzenia, której starczy lada poszlaki, by odtworzyć obraz całości. Wasilewski nie poprzestaje na opisie zewnętrznym, sięga głębiej, chce uchwycić rytm wewnętrzny pisarza. Zdobyla to wysiłkiem intuicji, jak artysta, nie jak analityk. Wiecznie jest narażony na zarzut nieścisłości, zawsze można mu wytknąć dowolność, brak przesłanki. Ale to nie jest istotne. Mamy tu do czynienia z talentem diagnosty, a wtedy mniejsza, jaką drogą doszedł do diagnozy. Zresztą ci, co się ludzą, że mają w ręku wszystkie przesłanki, zazwyczaj też błądzą poomacku, też opierają się na dowolnych hipotezach psychologicznych — z tą różnicą, że ta ich psychologia jest zwykle bardzo pospolitego gatunku.

Wasilewski jest pisarzem „bez publiczności”. Dla „szerszego ogółu” jest „za cienki”, jego kultura uczuciowa za subtelną, by znalazł wspólny język z pospolitym łowcą nowości literackich, nowości dnia.

## W sprawie muzeum T. Kościuszki w Solurze

15 października 1817 r. umarł w Solurze, na ziemi szwajcarskiej, Tadeusz Kościuszko.

Śmierć Jego smutkiem przejęła nietylko Polskę całą, ale i zagranicę, a przedewszystkiem Szwajcarię; dowodem tego był wspaniały pogrzeb Naczelnika w Solurze.

Pamięć Kościuszki do dziś dnia jest żywą w Szwajcarii, kult jego imienia wszczepiany jest już dzieciom w szkołach, ciężką otoczone są miejsca związane z pobytom jego w Szwajcarii, a przedewszystkiem dom, w którym umarł w Solurze.

Kul ten ma znaleźć nowy, wymowny wyraz w tem mieście.

Z inicjatywy Poselstwa R. P. w Bernie i w porozumieniu z władzami kantonu Solury, powstać ma w domu, w którym mieszkał i umarł Kościuszko, Muzeum jego imienia.

Muzeum to stanowić ma ważną placówkę dla propagandy polskości zagranicą. Jak niegdyś Muzeum rapperswilskie będzie ono powołane do zaznajamiania turystów z całego świata, nawiedzających tłumnie, rok rocznie Szwajcarię, z przeszłością Polski.

być zarzut bardziej zatruty, więc w tych okolicznościach ohydniejszy, a przez niemożność przeciwdowodu — bardziej arogancki! Więc niby to Slonimski się zna? My się znamy! — jak raz pisał Lechoń.

Takich zarzutów nie wolno stosować, nawet gdyby były słuszne.

Taki sobie lekutki handytyzm na głodziej drodze.

Karol Irzykowski

— W związku z atakiem p. Slonimskiego na prof. Kleinera otrzymaliśmy szereg listów i artykułów, protestujących przeciw zarzutom p. Slonimskiego i odpierających je w sposób udokumentowany. Niektóre z tych głosów zamieścimy w numerach najbliższych „Pionu” (Przyp. Red.).

I teraz proszę sobie wyobrazić pisarza z taką konstytucją wewnętrzną rzucającego się na publicystykę, i to na publicystykę polityczną. — Człowiek nie może się wyżyć właściwością swego umysłu i swej uczuciowości. Może tylko tym materiałem operować, starać się go nagiąć do potrzeb tej czy innej „roboty”. Tak i tutaj. Wasilewski swoje wizjonerstwo przykroił do biejących potrzeb emdeckiej roboty politycznej. Wynikają z tego nieraz rzeczy parodystyczne. Dopóki mówi o sprawach zasadniczych, można się z nim godzić lub nie, ale widać, że stoi na pewnym gruncie. Ale kiedy próbuje scharakteryzować chwilę biejącą, ogarnąć sytuację, poprostu zorientować się „co i jak” — wtedy właśnie daje mu się we znaki jego usposobienie. Wasilewskiego drażni każde zastrzeżenie, każda próba ściślejzego rozgraniczenia rzeczy. Gardzi dniem powszednim, rad zawsze pozostawać w świecie idei. Podobnie jak pisząc o poecie, odrywa się od szczegółu i dociera do podłoża, w tej sferze robiąc swe odkrycia — tak i tutaj, w dziedzinie aktualności, czepia się jakiegoś ogólnego schematu, stosuje go a priori do wszystkiego, co napotka na drodze i miarą tego schematu ustalonego raz na zawsze mierzy płynne, zmienne i wielokształtne życie. Tu jest właśnie błąd metody. Bo co innego mieć do czynienia z dziełem pisarzkim, z rzeczywistością zamkniętą i skończoną, której życie wewnętrzne odtwarza się na mocy tego co się kiedyś stało, a co innego stawiać diagnozy o tem, co jest w stanie przepływu. To wymaga innej zupełnie czujności.

W ostatnim (10) numerze „Myśli Narodowej” znajdziemy doskonały przykład tego błędzenia po manowcach. Pomijam w tym artykule wszystko, co dotyczy mnie osobiście. Mniejsza o to. Spotykają mnie zarzuty niesłuszne, ale nie będę się zastanawiał, czy powstały one skutkiem omyłki, nieuczagi, czy uprzedzenia. To nie jest ważne. Chodzi mi o samo stanowisko autora.

W publicystyce Wasilewskiego powtarza się dwa motywy. Pierwszy — to, że — „po-

lityka przedewszystkiem”. „Wszystko na usługach narodu”, w jego interpretacji, znaczy tyle co „wszystko na usługach polityki”. Jest literatura „zła” i „dobra”, filozofja „zła” i „dobra”, poezja „zła” i „dobra”, publicystyka „zła” i „dobra”. Pewne myśli należy lansować, inne przemilczać. Jedno ukrywać, drugie rozciskać. Kto bąknie nieśmiało, że — no dobrze, ale onby chciał tak troszkę wiedzieć, jak to jest naprawdę — uznany zostanie jeśli nie za wyrodka i zdracę sprawy narodowej, to przynajmniej za człowieka błędzącego, działającego mimowolnie na zgubę narodu.

Otóż w obozie rządowym ten nastrój nie panuje. Istnieje tu zrozumienie potrzeby bezinteresownego badania, pewnej zawsze nicodziejowej „sztuki dla sztuki” i „myśli dla myśli”, której człowiek na pewnym stopniu rozwoju umysłowego nigdy się nie wyrzeknie. To jest różnica zasadnicza. I dlatego mówię i mówię, że właśnie endecja pisze na komendę, a prasa obozu rządowego ma poszanować swobody myśli i słowa.

Kto próbuje organizować naród, wychodząc z założenia, że można z człowieka wypłenić potrzebę prawdy i badania, że krajowcy pragmatyzm polityków wystarcza, że zaspokoili on wszystkie aspiracje i szczerlnie zakorkuje wszystkie dusze — ten właśnie myśli nierealnie. Bo to nieprawda. W ludziach można te potrzeby na pewien czas zdusić, ale nie można ich zabić. Wyższością naszą nad doktrynami zarówno Wschodu jak Zachodu jest to właśnie, że metoda duszenia psychiki pod kątem potrzeb doradczych — co może dawać pożądane rezultaty na krótką metę, ale co zawodzi na dłuższą — nie przyjęła się, i że ta forma tyranji duchowej korzeni u nas nie zapuściła. Kto do takiej tyranji dąży, ten nietylko uprawia politykę duchowego zubożenia człowieka, ale też politykę nierealną, bo operującą fałszywą teorią człowieka.

Druga myśl, powtarzająca się ustawicznie w publicystyce Wasilewskiego, to podział społeczeństwa na „masonów” i „narodowców”. Wasilewski operuje temi pojęciami jak czemś jednoznacznym, ustalonym, zrozumiałym samo przez się. Petryfikuje społeczeństwo w tych dwóch formach, przeciwstawia je sobie i rozumuje tak, jakby tu miał do czynienia z jakimiś nietyklo doskonale znanymi i zdefiniowanymi zamkniętymi układami, ale ponadto z układami niezmiennymi, jak idee platońskie.

I to znowu jest obraz fałszywy. Jak dalece linja graniczna między „masonami” a „narodowcami” jest kręta — o tem chyba nie trzeba pisać. Jest przecież sekretem poliszynela, że znakomity pisarz, którym się chlubi endecja, i o którego stacza zarzuty boje — był właśnie masonem. Ten przykład nie jest wcale jedyny, a publicyści narodowodemokratyczni więcej napewno wiedzą na ten temat odemnie. A następnie. Podstawowym zarzutem logicznym, który „narodowcy” stawiają masonerji, jest to zarzut, że polityka „masonska” kieruje się w swych posunięciach nie interesem polskim, lecz swoim własnym, który z polskim może być sprzeczny. Zarzut jest poważny. Ale z równą słusznością możnaby go wysunąć przeciw katolizmowi, który ma też swoją rację stanu, nieraz sprzeczną z interesem narodowym krajów, a napewno nie dającą się żadną miarą uzgodnić z krańcowym nacjonalizmem rasistycznym, jak to widzimy na przykładzie dzisiejszych Niemiec. Ta sprawa jest naturalnie dyplomatycznie pomijana w imię ideałów pozornie nieczłonnych, a w istocie kompromisowych narodowej demokracji.

Wreszcie jedna jeszcze sprawa. Może najważniejsza. Oto walki kierunków, idei i myśli nie układają się w szeregi jak wojsko. Kto chce dać ścisły obraz walk, musi o tyle stać ich blisko, aby widzieć co się dzieje. To nie jest materiał statyczny, lecz dynamiczny. Trzeba go badać, trzeba wciągnąć na nowo formułować jego stan faktyczny. Kto jako publicysta chce mieć wpływ na kształtowanie się dziejów, kto chce zaważyć na losach tych walk, ten musi poznać ich prawa, zrozumieć ich dynamikę. Podział społeczeństwa na dwa obozy, rzekomo stałe i niezmiennie i ujęcie stosunku do siebie tych obozów jako raz na wieki ustalonego — ani nie oddaje rzeczywistości, ani tem samem nie prowadzi do żadnych ważnych, bodaj teoretycznie, wyników. Może conajwyżej być motyweł agitacyjnym. I to do czasu.

J. E. Skiwski



# SZKODA!

(Zamiast listu otwartego w odpowiedzi p. St. Piaseckiemu).

W polemice, toczonej się od paru już miesięcy między pp. Skiwskim i Piaseckim, p. Piasecki odpowiedział ostatnio p. Skiwskiemu (w 10-tym numerze ABC literacko-artystycznego) w formie listu otwartego, skierowanego pod moim adresem.

Mógłbym coppersażda uznać ten adres do mnie zwrócony tylko za formalność, zastosowaną w tym wypadku tylko dlatego, że chociaż obaj przeciwnicy już zapowiedzieli, że rozmawiać ze sobą nie będą, to jednak żaden z nich nie może uznać polemiki za zamkniętą. Nie uczynię tego jednak, ze względu na to: 1) że ten listu otwartego p. Piaseckiego w stosunku do mnie (niestety — tylko w stosunku do mnie) był przyzwoity, 2) że nie mogę przyjąć ofiarowanego mi laskawie przez p. Piaseckiego zrzeczenia się odpowiedzialności za to, co napisał p. Skiwski.

Nie stosowałem bowiem i nie mam zamiaru stosować w „Pionie” metody że: „to nie ja — to jeden z kolegów napisał i ja tego nie czytałem, czy też — ja za niego nie odpowiadam”. Owszem: czytałem i do współodpowiedzialności się poczuwam.

Wprawdzie we wszystkich dotychczasowych, nawet najostrejszych polemikach, nie chodziło mi i nie chodzi o argumenty „ad hominem”, które uznaję i traktuję zawsze tylko jako pewne ilustracje i przykłady w walce o pewne sprawy zasadnicze czy z pewnymi ideologiami i stanowiskami moralnymi pewnych obozów, ale jeśli w tym wypadku sprawa incydentalna została przez p. Piaseckiego wyodrębniona ze sprawy generalnej, wytaczanej przez nas całemu jego obozowi — to uważam, że mam na to obowiązek odpowiedzieć — niezależnie od p. Skiwskiego, który ma prawo — napewno nie mniejsze odemnie, do zabrania głosu w tej sprawie.

— W incydentalnej więc sprawie — rzekomego drukowania przez ABC wyjątków z Celine'a za opłatą — mógłbym odpowiedzieć p. Piaseckiemu krótko, kontrzarzutem, że odnośny ustęp w jego artykule był sformułowany conajmniej dwuznacznie, że nie może zatem zarzucać p. Skiwskiemu przekręcania, a conajwyżej to — że chciał on zrozumieć ten ustęp w sensie nie takim w jakim p. Piasecki go pisał. Ze zatem on sam dzięki nadmiernym subtelnościom ironiczno-stylizacyjnym spowodował te przykre zarzuty.

Zapewniam jednak p. Piaseckiego, że nie poprzestałbym na tem, lecz i w tym wypadku uważałbym za swój obowiązek przeprosić go publicznie za tę, choćby wbrew naszym istotnym intencjom, wyrządzoną mu krzywdę.

W tej sytuacji jednak, jaką p. Piasecki wytworzył przez swój list otwarty, uważam, że jako redaktor pisma nie jestem zobowiązany do żadnego tłumaczenia się ani do żadnego przeproszenia.

Uczyniłbym to bowiem tylko wtedy, gdyby p. Piasecki poprzestał na polemice z nieślusnie mu postawionym zarzutem. P. Piasecki dodał jednak na końcu zarzut przeciwko p. Skiwskiemu, oparty na conajmniej niesumiennie przeczytanym jego tekście (nie chcę zarzucać mu ze swej strony przekręcania tekstu, lecz tylko dziwnie opaczne zrozumienie, choć doprawdy nie bardzo rozumien jak mógł dojść do tego). Uczynił w stosunku do p. Skiwskiego to, co mu zarzuca w stosunku do siebie. Wysznuł dalej idące i brutalniejsze wnioski w stosunku do p. Skiwskiego i włączył to do listu otwartego skierowanego do mnie.

Przepraszam bardzo, — ale to jest trochę za wiele! Skoro p. Piasecki dokonał samosądu w odwiecie za wyrządzoną mu krzywdę, skoro wymierzył sobie sam odrazu „sprawę dliwość” przez wyrządzenie przeciwnikowi jeszcze cięższej krzywdy, niż jemu wyrządzono, to tem samem zwalnia mnie od wszelkich w stosunku do siebie obowiązków naprawienia choćby mimowolnego błędu poprzedniego.

Gdyby p. Piasecki poprzestał na pierwszej części swego artykułu, — mógł przyznać się do podniesienia poziomu polemiki; przez swój ostatni atak — przyczynił się natomiast do obniżenia go.

Mam o to do niego żal i pretensję. Wbrew bowiem różnym przykrym wspomnieniom chwytów polemicznych ABC literackiego sprzed roku, miałem jeszcze do niedawna nadzieję, że młodsze pokolenie endencji da nam możliwość przeprowadzenia walki i dyskusji głębszych i poważniejszych, niż to miało miejsce z wyjalowionem pokoleniem starszem. Po przeczytaniu ostatniej części listu otwartego, dezawuuującej b. przykro poprawny ton ustępów, zwróconych bezpośrednio do mnie — zaczynam przychodzić do wniosku, że się ludziem daremnie.

Szkoda!

Szkoda!

Tadeusz Świąciecki

# PROSZĘ O SĄD

Od dawna toczę polemikę w pewnej sprawie zasadniczej. Walczę mianowicie o ustalenie pozycji ideowych, domagam się konsekwencji od ludzi występujących w imię pewnych haseł, pewnych ideałów, realizujących, jak powiadają, pewien program. Domagam się od nich konsekwencji — i uczciwości.

Sprecyzujmy. Chodzi mi o narodowo-demokratyczny odłam naszej prasy, lansujący hasła integralnego nacjonalizmu, spartańskiej moralności, bezkompromisowego antysanitaryzmu — i równocześnie postępowaniem swoim jawnie tym wszystkim hasłom przeciwny.

Polemika moja przeszła sporo etapów, w trakcie jej prowadzenia poruszyło się jedną sprawę. Niestety, na zarzuty najistotniejsze nigdy nie doczekałem się odpowiedzi. Albo zbywano je milczeniem, albo usiłowano udowodnić, że tak ścisła kontrola zgodności myśli z czynem jest prostopadłością małoduszności, drobiazgowości i ciasnych horyzontów piszącego. — W ten sposób odpowiadano mi z dalszych stron dzienników, bo ze strony tytułowej głośno no pompatycznie, że właśnie młodzi narodowcy biorą swe hasła dosłownie, a ścisła i bezwzględna zgodność haseł i czynów jest ich niezłomną zasadą.

Ostatnim etapem tej polemiki jest list otwarty p. Stanisława Piaseckiego do redaktora „Pionu” p. Tadeusza Świącieckiego (A. B. C. z dn. 4.3. b. r.), zawierający formalną skargę publicysty nar.-dem. na mnie, wniesioną przed trybunał redaktorski.

Ponieważ za to co piszę ja tylko odpowiadam, przeto — jakkolwiek zarzuty pochodzą od osoby, której za swego przeciwnika uważać nie mogę — to jednak replikuję. Padły publicznie i publicznie też winny być odparte.

1. Twierdziłem że dziennik „A. B. C.” umieścił płatny wyjątek z powieści Celine'a „Podróż do kresu nocy” na podstawie słów p. Piaseckiego (A. B. C. z dn. 18 II. b. r.) „byliby tacy naiwni, żeby nic za to od wydawcy nie brać, skoro inni biorą?” — Zdanie to rozumiałem w sensie twierdzącym, a kilka osób zapytywanych przeze mnie, przyznało mi rację. — Jeśli ktoś napisze: „Czyż człowiek przy zdrowych zmysłach powątpiewa o prawdziwości twierdzenia, że dwa razy dwa jest cztery” —, to nikomu nie przyjdzie na myśl dopatrywać się w tem drwin, czy ośmieszania podstawowego twierdzenia arytmetyki. Każdy zrozumie to zdanie właśnie w sensie potwierdzającym pewność i powszechność tego zdania.

2. Pan Piasecki zarzuca mi pozatem

przeoczenia i niepoprawne chwytów polemiczne. Nie uchylam się bynajmniej od odpowiedzialności za wszystko, co napisałem, bez względu na ewentualnie popełnione błędy. Do wszystkich rzeczywistych win moich gotów jestem przyznać się publicznie, ale na ten temat w odpowiedzi niniejszej dyskusji nie podejmuję. A nie podejmuję dlatego, że a) aby dowieść niesłuszności pewnych zarzutów zawartych w artykule z 4.3. b. r. musiałbym odwołać się do kredytu moralnego p. Piaseckiego, a z kredytu tego pana korzystać nie chcę; b) bo tak drobiazgowo roztrząsanie spraw, dotyczących tylko mnie osobiście, a nie mających żadnej doniosłości obiektywnej uważam za nadużywanie zarówno gościnności „Pionu”, jak cierpliwości czytelników.

3. Przypisywanie mi na podstawie mojego feljetonu przytoczonego przez p. Piaseckiego w Nr. z dn. 4.III. b. r. A. B. C. groźby łabrania się w prywatnym życiu pewnego publicysty, w razie zbyt ostrych przeciw mnie wypadów polemicznych, określał jako oszczerczą insynuację, gdyż p. Piasecki jest dość inteligentny na to, aby zrozumieć tekst zupełnie prosty i jasny. Oto ten tekst: Ja tylko w słowie drukowanym (podkreślał teraz) poprzestaję na aluzjach i pomknieniach, zrozumiałych dla wtajemniczonych, a nie demaskujących drażliwych spraw osobistych przed czytelnikiem. Natomiast w życiu, w stosunkach osobistych (podkreślał teraz) jestem zwolennikiem jaknajwiększej uchwytności. — „Uchwytność” więc, o której mowa, w żadnym razie — jak najoczywiściej wynika z tekstu — nie mogła oznaczać ataków w prasie czy „publicznego łabrania się w życiu prywatnym” przeciwnika. Była to „uchwytność” zgola niemetaforyczna. W tym też sensie zredagowany był mój list do wiadomego p. Piaseckiemu (jak to on sam stwierdza) publicysty. Oto wyjątek: „Równocześnie oświadczam, że w dalszym ciągu ani Sz. Pan, ani nikt, kto podjąłby w prasie przeciw mnie wystąpienia w stylu przez Pana uprawianym, nie może liczyć na moją pobłażliwość i puszczenie płazem zarzutów w typie tych, któremi Pan stale obdarza swych przeciwników. Z podobnymi wystąpieniami nie będę polemizował w prasie (podkreślał teraz), a potraktuję je jako sprawę czysto osobistą, (podkreślał teraz), reagując w sposób może niezwykły, ale jedynie słuszny.

Rzecz prosta, oświadczenie to, jak i zapowiedź reakcji nie stosuje się do polemik rzeczowych, które podejmę jak najchętniej, i t. d.”

4. Zarzuty, które niejednokrotnie podnosiłem przeciw starszemu i młodszemu pokoleniu działaczy narodowo-demokratycznych opierały się nie na jednym fakcie (który na mocy oświadczenia p. Piaseckiego uważałem za stwierdzony) płatnego reklamowania książki, którą się równocześnie charakteryzuje jako niemoralną i szkodliwą, ale na wielu innych faktach i obserwacjach.

Zarzucałem temu stronnictwu niekonsekwencję i całkowitą niezdolność posunięcia się od haseł do czynów, obserwując przede wszystkim rolę Żydów i pół-żydów, którzy w tym „integralnie-nacjonalistycznym” obozie zajmują nieraz wybitne stanowiska; patrząc, jak dla wygrania mizernego nieraz atutu w walce z przeciwnikiem nasi nacjonalisci sprzymierzają się właśnie z Żydami i jednoczą z nimi we wspólny front (np. przymierze literackie ze Sternem).

Powie kto, że to tylko niekonsekwencja, słabość, zastarzałe serwituty, które ciężą być może tym, co je znoszą. Niech i tak będzie.

Ale takie fakty jak stałe umieszczanie ogłoszeń żydowskich w prasie N. D. czyli zarabianie na Żydach, których się rzekomo zwalcza, uważa za wrogów Polski i odsądza od godności człowieczej, albo wydawanie w firmach notorycznie żydowskich ksiązek endeckich publicystów, — to już coś więcej, niż niekonsekwencja. To jest postępowanie niemoralne. Zarzuty, które podnosiłem w tym punkcie (nie ja jeden zresztą) pomijano milczeniem, albo zbywano je nic nie mówiącami ogólnikami.

Obecnie pan Stanisław Piasecki poddaje swym listem otwartym do red. Świącieckiego pod dyskusję publiczną moje wypadki polemiczne przeciw niemu i jego dziennikowi. Wypowiada się za odbagnieniem polemik i uzdrowieniem obyczajów prasowych. Słowem nadaje sprawie znaczenie zasadnicze i ogólne. Chętnie godzę się na to i wzywam p. Piaseckiego do poddania się orzeczeniu sądu honorowego, któryby

1. rozstrzygnął sprawę naszej osobistej odpowiedzialności oraz

2. zdecydował czy publicysta, na mocy przytoczonych powyżej faktów i obserwacji ma czy nie ma prawa do scharakteryzowania prasy i moralności narodowo-demokratycznej jako „geszefciarskiej”? — z czego właśnie czyni mi zarzut p. Piasecki. — Sądowni temu gotów jestem zdać sprawę ze wszystkich moich posunięć polemicznych, które mi wytyka p. Piasecki. Uważam, że orzeczenie takiego sądu powinno być ogłoszone w prasie. Na przykładzie takiej rewizji jednej polemiki może się wyjaśnić sporo spraw zasadniczej wagi, dotyczących tak zaniedbanych i nieuregulowanych, aby nie wyrazić się ostrzej, obyczajów prasowych. Służę i czekam.

J. E. Skiwski

## LISTY DO REDAKCJI

ZAMIĄST ODPOWIEDZI P. DR. OLGIERDOWI GÓRCZE

Szanowny Panie Redaktorze.

W nr. 10 „Pionu” ukazała się replika p. dr. Olgierda Górki na mój artykuł w sprawie toczonej się od dłuższego czasu dyskusji dokoła sta historycznego „Ogniem i mieczem”.

Ponieważ wspomniana dyskusja przybrała nadmierne rozmiary i wkracza obecnie w dziedzinę szczegółów historycznych oraz interpretacji fachowych, — uważam, iż byłoby okrucieństwem z premedytacją karmić nią nadal czytelników pism codziennych i tygodników społeczno-literackich.

Nie wywieszam białej chorągwi, gdyż nie trafiły mi do przekonania argumenty p. dr. Górki, lecz wstrzymuję się narazie od dalszej polemiki do czasu, aż p. dr. Górka nada swoim dociekaniom publicystycznym formę badań naukowych, co nam obiecał w ostatnim artykule.

Z niecierpliwością oczekuję na tę chwilę, aby znów „podjąć oręż”, lecz tym razem już na lamach pism naukowo-historycznych.

Władysław Tomkiewicz

## „CZERWONE TARCZE”

Nową powieść

z dziejów Polski XII w.

pióra Jarostawa Iwaszkiewicza

zaczęła drukować od 15 marca

GAZETA POLSKA

ZNAWCY CYGAR!



SPRÓBUJcie NOWYCH CYGARETEK „LIGIA”

CENA 522-122



# NA SCENACH STOLICY

„W małym domku” — dramat w 3-ach aktach Tadeusza Rittnera na scenie Teatru Kameralnego. Reżyseria K. Bandy. (Dn. 28.II.1934).

Jakiś nowy duch wstąpił w mury Teatru Kameralnego, wiodącego od czasów „Dziwcząt w mundurkach” żywot dość jalowy: po interesującym eksperymencie z „kameralnym” „Hamletem”, teraz znów udany eksperyment z p. Zimińską jako Marją w „Małym domku”. Bo wszystko poza Zimińską nie jest w tym przedstawieniu eksperymentem — ani sztuka, jedna z najświetniejszych napisanych w polskiej literaturze dramatycznej, ani Adwentowicz w roli doktora, jedna z tych postaci z których teatr polski może być dumny, ani pozostali wykonawcy, naogół poprawni, choć może właśnie szczęśliwy reżyser dramatu p. Benda, nieco odskoczył od tonu nadanego przez siebie przedstawieniu, czyniąc z Jurkiewicza zbyt już groteskowego pajaca.

Natomiast p. Zimińska jako Marja po największych artystkach polskich w tej roli, po ostatniej, niezapomnianej keracji Marji Dulębianki, grającej ten dramat coś zgórą dwieście razy w warszawskiej Reducie, jest eksperymentem wybitnie ciekawym i niewątpliwie dla tego eksperymentu sala Teatru Kameralnego tak bardzo się zaludniła i tak żywo reaguje na wszystko, cokolwiek się dzieje na scenie.

Wcale to nie jest najważniejsze, że rola Marji absolutnie nie leży na drodze talentu p. Zimińskiej. Są takie omyłki obsadowe w teatrach, które są ciekawsze, niż najtrafniejsze posunięcia. Marja jest zupełnie innym typem kobiecym niż ten, który nam p. Zimińska pokazała, dramat został wskutek tego zdeformowany, a przecież talent Zimińskiej zajął mimo to w całej pełni i postawił kandydaturę swojej właścicielki do szeregu najpoważniejszych (w znaczeniu hierarchji) ról repertuaru dramatycznego.

Marja Rittnera z „Małego domku” jest jednym z najpoważniejszych okazji kobiecej podświadomości. Rozkwitnienie jej miłości posiada charakter nieomal przyrodniczy, mamy przez cały czas trwania tego uczucia wrażenie, jakgdyby to nie człowiek, ale kwiat nagle obudził się do słońca i pokrył barwami w zupełnej, metafizycznej niemal nieświadomości zachodzącego procesu. Słońce jaśniało już nad tym kwiatem dawniej: przecież to miłość musiała połączyć Marję z jej mężem, gdy brał ją poraz pierwszy jako student, i niewątpliwie miłością jest cały stosunek doktora do jego żony. Ale kwiat jest często na dotknięcia promieni słonecznych zupełnie obojętny. Czuje ich ciepło, kąpie się w ich blasku, ale że nie dogadza mu ich nachylenie, czy też poprostu że czas nie nadszedł jeszcze — nie rozkwita, aby potem, jednego ranka, nagle i niespodziewanie oblać się tęczą kolorów nie przeczując, że właśnie tego dnia wielka burza zmiecie jego płatki, połamie lodygę i rozkruszy barwy. Podobnie Marja rozkwita najniepotrzebniej dla siebie i na swoją zgubę, jak motyl, który za kilka godzin anemicznego słońca oddaje swoje prawo do istnienia. To nie Marja jest dla Jurkiewicza katastrofą — to Jurkiewicz jest katastrofą dla Marji, katastrofą tak żywiołową, że nie może być z niej ratunku.

P. Dulębianka grała tę rolę właśnie tak, jakby jej bohaterka przyszła na świat, żyła i umarła w mgle sennej i słodkiej, a gdy porwało ją słońce do miłości, nietylko nie wywołało jej, ale pogrążyło w gorączkowym podnieceniu i nieprzytomności. Wśród ludzi patrzących z nadmierną ciekawością na swych bliźnich, Marja przeżywała swą miłość w halucynacjach śmiechu, a gdy wystrzał rewolwerowy położył kres jej życiu, to i wówczas nie wyrwał jej z nieprzytomności — umarła w śnie, jak w śnie żyła i kochała.

P. Zimińska jest niezmiernie rzadkim i kosztownym talentem charakterystyczno-komicznym o niezwykle silnym efekcie komicznym. Komizm zaś opiera się o elementy świadomości duchowej, jest jakgdyby stanem symbiozy dwu ludzi, z których jeden jest śmieszny, a drugi tę śmieszność podaje do wiadomości publicznej, podkreśla jej właściwości i zadzierzga nici porozumienia z widownią. Marja Zimińska była nietylko wybitnie komiczną postacią, ale ponadto

czujnie kontrolowaną przez samą artystkę, która wyczelowała postać w szczegółach i psychicznej postawie. To się czuło z każdego jej kroku i nie mogło tu być mowy o żadnym stanie snu. Mówiąc jasno, Marja Zimińska jest świetnie zarysowaną prowincjonalną gęsią, ograniczoną umysłowo, tępą w uczuciach, gęsią, która w swej niebacznie wywołanej miłości odsłania niezmiernie swe ubóstwo psychiczne, zamiast, pokazać psychiczny nadmiar bogactwa. I to było bardzo konsekwentne, aż do finału, w którym Zimińska nie wywołała wzruszenia na widowni, ale zdziwienie, że nawet taka uboga organizacja duchowa zdolna jest jednak do heroizmu i powagi wobec śmierci. Skonfrontawszy Marję z śmiercią, pokazała Zimińska, jak głęboko umie wyczuć poezję i godność głupiego człowieka, godność, podnoszącą go do poziomu mędrców.

Dlatego też Zimińska może grać Zapolską i Rittnera — ale powinna grać przede wszystkim Moljera i Shawa — żeby w tem odległym zestawieniu zamknąć wszelkie jej możliwości, niezwykle bogate i dla sceny komiczowej pojętne.

„Miljonowy interes” — komedia w 3-ach aktach Charles’a Bennetta na scenie Teatru Małego. Przekład F. Sobieniowskiego. Dekoracje S. Sliwińskiego. (Dn. 2. III. 1934).



Samborski, Przybyłko-Potocka i Biegański

Gdyby p. Bennett był z rodu wielkich angielskich humorystów, jego komedia mogłaby być kapitalnym pamfletem na finansjerę naszych czasów. Nietylko na finansjerę amerykańską i angielską — właśnie w tych wyolbrzymionych wymiarach tem zabawniej przegładalibyśmy się sami, ludzie wielkich interesów i małej gotówki, w ciągu jednego pokolenia pragnący nadrobić czas stracony przystosować swą psychikę do „wymagań” współczesności.

Tego jednak właśnie brakuje autorowi „Miljonowego interesu”: bardzo dobrze napisany, umiejący w przeprowadzeniu fabuły, piętrzący sytuacje do zawrotnego napięcia, pozostaje przez cały czas zimny, wyrachowany i nieco abstrakcyjny. A przecież sam temat jest bardzo ciekawie skonstruowany: to wywyższenie kobiety-gospodyni, która w razie „wojennej” potrzeby umie stanąć do ciężkiej walki i walkę tę zwycięsko przeprowadzić, nie jest u Bennetta łatwym przeciwstawieniem kobiety mężczyźnie: finał komedji stwierdza, że mąż pani Mortimer właściwie wcale pomocy żony nie potrzebował i sam doskonale się od wszelkich niemilych konsekwencji doskonale zabezpieczył — ale to męstwo kobiety współczesnej, która docenia swe gospodarskie powołania dnia codziennego i która czuje się jednocześnie towarzyszem wojennych wypraw swego męża, jest interesujące i trafnie podpatrzone. Gdybyż tylko p. Bennett nie był sobie tak bardzo uprościł tego zadania, nagromadzając w sumieniach „rekinów” finansowych zbyt wiele czarnych kolorów i gdybyż, walcząc z okrutnikami zawzięcie, nie wpadł sam w ferwor walki, każąc pani Mortimer popełniać różne okrucieństwa i niecodł ostrożnie lawirować wśród spraw — mówiąc delikatnie — etycznie wątpliwych.

Rolę głównej bohaterki zagrała świetnie p. Przybyłko-Potocka, naprawiając w niej jednym błędem autora. Dzięki p. Przybyłko-Potockiej postać nabrała humoru, stała się nam mimo wszystko bardzo sympatyczna, wypełniła krwią i prawdą — że zaś p. Przybyłko jest wirtuozem techniki aktorskiej, więc jej akt drugi był popisem kontrastów i chwytów godnych najświetniejszego repertuaru.

Doskonała i pracowita reżyserja p. Warneckiego nieco zaniedbała finał komedji — prosił się on o większe podkreślenie powrotu pani Mortimer do zajęć domowych — efekt komiczny doskonały, bez którego komedja nie posiadała dość wyrazistego zakończenia. Wykonawcy bardzo równi i bardzo trafni, a zwłaszcza pp. Samborski, Leszczyńska, Biegański, Warnecki i Małkowski. Tylko p. Kondrat zawiódł — nie miał ani humoru, ani nie stworzył figury scenicznej, choć właśnie jego Molinaro jest doskonale przez autora nakreślonym epizodem.

„12 krzesel” — Ilji Ilfa i Eugenjusza Pietrowa na scenie Teatru Ateneum. Inscenizacja T. Łopalewskiego. Przekład H. Pilichowskiej. Reżyserja M. Wyrzykowskiego. Dekoracje S. Cegielskiego i W. Ujejskiego. (Dn. 3.III.1934).

Mieliśmy w teatrach doskonały tydzień aktorski: znakomita kreacja Przybyłko-Potockiej i doskonale otoczenie w Teatrze Małym, wybitnie interesująca Zimińska i doskonały Adwentowicz w Teatrze Kameralnym, wreszcie szereg bardzo dobrych postaci w przeróbce znanej powieści pisarzy sowieckich Ilfa i Pietrowa. Dobry poziom reżyserki przedstawienia, ciekawe ujęcie dekoracyjne, to są pozycje stałe Teatru Ateneum. Tym razem zademonstrowano nam kulturę teatralną tej sceny na materiale literackim nieco rozwekłym, ale niewątpliwie interesującym, dobrze i prosto przetransponowanym na akcję sceniczną. Tę podróż po Rosji Sowieckiej widzieliśmy już w „Defraudantach” Katajewa — tym razem pomyślano ją w płaszczyźnie Clairrowskiego pomysłu pogoni za miljonem, ukrytym w wędrującym przedmiocie. Tej pogoni za krzesłem, w którym zaszyto brylanty i perły, towarzyszy dyskretnie podkreślone przeciwstawienie nowego świata Rosji dzisiejszej, usymbolizowanej w robotniku-udarniku i jego palacu — domu robotniczym, a trójką z przeszłości — zidjocjalnym marszałku szlach-

ty, opanowanym przez demona chciwości popie i zręcznym łaziku-nicponiu. Czego brak tej scenicznej transkrypcji, to jakiegoś momentu o wielkiej sile sytuacyjnego komizmu (nie jest nią przecież prostaoki pomyślany seans szachowy), natomiast cała galerja postaci jest bardzo zabawna i niewątpliwie interesująca.

Punkt ciężkości naszego zaciekawienia skupia się jednak na wykonaniu aktorskim. Poprostu znów w tej gromadzie utalentowanych artystów parę indywidualności wybitnie się zaznaczyło, co trzeba skwapliwie i szybko odnotować. Więc przedewszystkiem Hajduga, doskonały już w „Panu z towarzysztwa”, tu jako zabawny ramol dał doskonałą postać sceniczną, niezmiernie spokojną, środkami scenicznego komizmu wywodzący się z tej rodziny, która na szczytach dała Kamińskiego, a reprezentowana jest na scenach naszych przez Stanisławskiego — doskonale opracowana sylweta od kostiumu począwszy a na masce skończywszy. Dalej Borowy, może jeszcze nie tak bardzo bogaty w środki techniczne, lecz bardzo swobodny, pelen swoistego temperamentu. Wreszcie niespodzianka p. Wyrzykowskiego w roli Trubeckija — zdolny ten aktor o zacięciu bohaterskim pokazał o wiele mocniejszą stronę swego talentu — komiczno-charakterystyczną. Epizod p. Buczyńskiej należy do najciekawszych, dysponujących siłą komizmu w doskonałym gatunku. Wreszcie dobra postać epizodyczna Stróżewskiego w roli Korobiejnikowa i coraz bardziej przekonywujący Butkiewicz w roli ojca Fiodora.

Czy to nie charakterystyczny objaw, że ten teatr, dający nieustanne dowody heroicznego wysiłku i którego przedstawienia, choć niezawsze udane, zawsze odbiegają od szablonu repertuarowego i inscenizacyjnego, nie cieszy się dostatecznym poparciem publiczności? A przecież jest to typowy teatr dla znawców sztuki teatralnej, tych znawców, którzy niejedną pomyłkę bardziej umiejają cenić, niż normalnie poprawne przedstawienia.

W. Z.

## CIEKAWY ZBIÓR AFISZÓW

Są rodzaje druków na krótki skazane żywot, odgrywające skromniutką rolę na tym świecie i po spełnieniu jej idą na śmietnik i nikt się nimi więcej nie interesuje. Stwierdzenie, że nieuchwytne stają się po latach cennym źródłem wiadomości, często bardzo ważnym i jedynym dokumentem tej dziedziny życia, której krótko, niedostrzegane, służyły. Zbiory złożone z tego „proletariatu” druków stają się często podwalinami ciekawych, wręcz rewelacyjnych prac. Do tej kategorii druków należy afisz teatralny. Praca w teatrze jest niewdzięczna, sława i nieśmiertelność aktora umiera de facto razem ze śmiercią ostatniego widza, to co zostaje to szkielet: kilka poślódkich fotografii, trochę anegdot i w najlepszym razie jakieś książkowe wspomnienie. To co było żywe, więc istotne — zginęło i nigdy tego nie można, takim jakim było, zrekonstruować. Więcej nawet każda kreacja wielkiego czy małego artysty umiera wraz z zejściem sztuki ze sceny.

Zmudna praca wyszukiwania, w starych czasopiśmiech, recenzji teatralnych w poszukiwaniu nazwisk aktorów ich kreacji, reżyserów i dekoratorów nie zawsze daje zadowalające wyniki, tem bardziej, że np. współczesne recenzje teatralne w Polsce są raczej rozważaniami na temat wystawianego dzieła niż sztuki aktora i reżysera. Mówi się o nich przeważnie w kilku zdawkowych frazesach, gdzieś na szarym końcu recenzji jakby to nie była sprawa równie ważna. Pisarze nigdy nie podają ilości przedstawień — rzeczy niezwykle ważnej, dającej świadectwo upodobaniom epoki, smaku i poziomu widza teatralnego. Afisz proletarjusz staje się po latach ważnym dokumentem dla historyka teatru.

Oto:

„Aktorowie Narodowi J. K. Mci będą mieli honor dać dziś: Dramę, Śmieszno-Placziwie Filozofów-Sowizdrzalską w 5 aktach pod tytułem: Arlekin Mahomet albo Taradayka Latająca...

„Sztuka sama z siebie wesoła i szczerólna, tę jeszcze ma zaletę, że zawiera wielorakie odmiany, jako poruszenia machin, muzykę, śpiewanie, taniec, mar-

szę, wojenne ataki i okazały popis dwóch wojsk na scenie okazujących się\*).

Biblioteka Teatrów Miejskich w Warszawie zbierała skrętnie afisze teatralne, blisko od roku znajduje się ten cenny zbiór w Bibliotece Narodowej. Jest to dzisiaj jedyna w swoim rodzaju kolekcja w Polsce obejmująca sto czterdzieści siedem lat życia teatrów stolicy (912 pozycji). Najstarszy afisz zbioru pochodzi z 6 stycznia 1787 roku i obwieszcza Warszawie, że aktorowie Narodowi będą mieli honor dać: „Dzień Swywoli albo Wesele Figara”. Rocznik 1787 obejmuje repertuar smutnych czasów dla teatru „Aktorów Narodowych” — rządzi sceną spryciarz Ryx podstępnie rozbawiwszy trupę Bogusławskiego. Sam Bogusławski z trzema wicernymi aktorami zgryziony siedzi w Wilnie.

Dalsze roczniki obejmują dzieje tworzenia się sceny i repertuaru teatru polskiego, wielkie dni Teatru Narodowego za dyrekcji Bogusławskiego, jego pracę nad repertuarem dramy, komedji i opery narodowej. Póki opera polska nie zdobyła sobie przebojem publiczności, afisze ogłaszają ciągle występy pupilków warszawskich: aktorów włoskich i Opery włoskiej. Zjeżdża i do Warszawy trupa niemiecka Bulla obwieszczając gotykiem i po niemiecku, dla większej reklamy, o spektaklach dla stolicy dawanych, z wymienniem na afiszach postaci sztuki i ich obśady, czego ani włoscy ani polscy aktorowie nie czynili w tych czasach. Znajdują się też w zbiorze afisze kompanji aktorów francuskich.

Dalej dzieje repertuaru Teatru Narodowego za dyrekcji Osinińskiego i później od uroczystego odbudowania tegoż teatru po uzyskaniu niepodległości (1924). Największą część zbioru to afisze Teatru Wielkiego obejmujące sto pięć lat (1834 — 1929), Teatru Rozmaitości (1830 — 1922), nadto teatrów krótkotrwałych jak Teatru przy Kollegjum Krajowym (1800 — 1804), im Bogusławskiego (1921 — 1926) i t. d.

Tadeusz Makarewicz

\*) afisz z roku 1787.



WYSTAWA PRAC J. M. SZOPIŃSKIEGO

Niektórzy z pedanckich artystów naiwnie przewidujący mechybny upadek sztuki, nie wliczają do swego rachunku przede wszystkim naturalnego instynktu człowieka w poszukiwaniu wyrazu plastycznego dla swych wewnętrznych wyobrażeń. Ow instynkt występujący u niektórych jednostek z żywiołową mocą niezależnie od ich warunków życiowych oraz okoliczności, wśród których kształtuje się ich psychika — nazywają niektórzy „zamiłowaniem” do sztuki — określenie dosyć powierzchowne, zwłaszcza, kiedy „zamiłowaniem” to staje się niejako drugą naturą człowieka. Ow fatalizm w upartym dążeniu do całkowitego wyzycia się w sztuce danej jednostki, wyzwalaający w niej nowe energie życiowe — to jeszcze jeden dowód przyrodzonego arystokratyzmu

zowiecka 1) — zaledwie po dwóch latach — widzimy w nim malarza prawie dojrzałego o pełnej świadomości artystycznej — samodzielnego konstruktora, posiadającego już niemal doświadczenie i swój własny system w kolorystycznej budowie obrazu. Pewne niedociągnięcia we wzajemnym ustosunkowaniu walorów (jako szczebli na drodze wiodącej od czystej czerni do czystej biele, niezależnie od koloru) — pochodzą od pokutujących jeszcze w sztuce tego malarza resztek impresjonistycznej metody w formułowaniu zjawisk — gdzie światło słoneczne padające na przedmioty, neutralizowało ich kolor lokalny — co jest zgodne wprawdzie z prawami optycznymi w przyrodzie — ale co zasadniczo przeciwstawia się dzisiejszym kategoriom kolorystycznego odczuwania i



Jan Szopiński

Pejzaż

zmu twórczości artystycznej, który w naszych ultrademokratycznych czasach tak razi naiwnych zwolenników uspołecznionej mechanizacji sztuki.

Ale zawód artysty nie znosi paljatywów. Największym bowiem w sztuce grzechem jest połowiczność. Istotą metody twórczej jest ciągłość pracy i ustawiczne dążenie do wyższych sfer artystycznej świadomości. Mjr. Szopiński, jakkolwiek jest niemal samoukiem — zdaje sobie z tego dokładnie sprawę a swą podziwu godną wytrwałością i upartym zmaganiem się z technicznymi trudnościami malarstwa — zawstydzia wielu naszych „zawodowych” artystów — których metodą pracy jest właśnie brak wszelkiej metody, nie mówiąc już o karygodnej dośrywczosci wykonania. Dlatego też Szopiński po kilku zaledwie latach rozumnej i celowej pracy nad sobą — wykorzystując znakomicie swój roczny pobyt na studiach w Paryżu — zdołał ominąć wiele nieistotnych poszukiwań i znaleźć najkrótszą drogę prowadzącą do samodoskonalenia się i zdobycia własnej postawy twórczej. Nader szybko orjentowanie się w istocie i prawach obrazu stalugowego, zawdzięcza Szopiński głównie muzeum paryskiem, gdzie sztuka francuska z XVIII-go i XIX-go w. wywarła na nim głębokie wrażenie, wysubtelniając jego smak artystyczny i krytyczny zmysł wyboru i doboru.

Pierwsza wystawa Szopińskiego w grudniu 1931 r. (w salonie „Sztuka i Reprodukcyjność”) — składająca się przeważnie ze studiów pejzażowych z Kazimierza n. Wisłą — miała jeszcze posmak dyletantyzmu — mimo całkiem poważnego ustosunkowania się artysty do czołowych zagadnień plastycznych. Dzisiaj w salonie Garlińskiego (Ma-

komponowania kontrastów barwnych. W zasadzie należy tu przyjąć system Cézanne'a w stopniowaniu koloru — który powiada, że „światło i cień nie są niczem innym, jak stosunkiem dwóch tonów” — czyli, że część przedmiotu na którą padają promienie słoneczne, niekoniciecznie musi być jasnożółta a część pozostająca w cieniu ciemnoniebieska — lecz walory te ustosunkowują się wzajemnie w obrębie lokalnej barwy danego przedmiotu. Nie jest to bynajmniej żaden kanon ani recepta — ale wyższy stopień orientacyjny w organizowaniu malowidła — do czego asumpt dał właśnie czysty impresjonizm, jako pierwszy etap w ewolucyjnym rozwoju środków współczesnego malarstwa.

Wystawa Szopińskiego jest godna zwiedzenia.

K. Winkler

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

NA EKRAŃACH

CZESKA AWANGARDA FILMOWA

Pokaz czeskiej produkcji awangardowej, urządzony przez „Start”, był imprezą nad wyraz udaną i ciekawą. Wyświetlono kilka próbek, które możnaby podzielić odradu na filmy nienależące do awangardowej produkcji i na prace, przedstawiające istotny wysiłek w kierunku stworzenia nowego wyrazu i władnięcia nowymi terenami wyobraźni i uczuciu widza. Taka była naprzykład krótkometrażówka, mająca za treść wyłącznie i jedynie światło elektryczne w najrozmaitszych jego postaciach. Należałoby dodać, że realizatorowi chodziło o jednolitą kompozycję z poszczególnych motywów światła elektrycznego uformowaną, co mu się w zupełności udało. Została przytem osiągnięta pewna swoista zresztą i mechaniczna dziwaczność przedmiotów, które będąc nieruchome, bez wyrazu potrafią być źródłem potężnej energii. Film jest oczywiście dynamiczny (to leży w istocie elektryczności), pełen niespodziewanych gzygawków, jak iskra. Pulsowanie światła na różne sposoby naturalne i elektryczności właściwe, reżyser ujął w karby logicznej konstrukcji kompozycyjnej, pozwalając jednocześnie wyżyć się żywiołowi bez reszty. Jest to poemat o siłach natury, działających bądź samoczynnie (piorun), bądź ze świadomą wolą człowieka (lampa), celowo. „Ziemia śpiewa” K. Plicki może posiada jeszcze więcej uroku poetyckiego od krótkometrażówki elektrycznej, która ograniczyła się raczej do czysto mechanicznej strony zjawiska. W filmie Plicki wyświetlanym na Słowaczynie, jest tyle czaru, że całość wygląda jak baśń pełna kryształowej atmosfery i zapachu ziemi. Wielkie, ale zarazem ludzkie góry, pejzaż zastygły w precudownym kształcie, domy, stanowiące z nim przedziwnie harmonijną całość — stanowią ogromne tło dla życia nowego, silnego, radosnego. Zwinni chłopcy, dziewczęta o słowiańskich szczupłych, jasnych twarzach, stada owiec na poloninach, gry, tańce i śpiewy, mieszą się ze sobą w rytmiczny korowód wszechbytu młodego i mocnego, radosnego, ale w tej wielkiej niemal kosmicznej radości zorganizowanego m. cno, celowo i pięknie. Harmonia doskonałości bytu wieje z tego naprawdę porwijącego filmu, o którym trudno nie pisać słowami szczerzego entuzjazmu, nie oglądając się na dociekanie analizy samej roboty

realizacyjnej. Pocz? Musi ona być (i jest) niepowszednia, jeśli taki żywiołowy budzi nastrój. „Ziemia śpiewa”, działa jak narkotyk współdziałaniem ogromnego, a jednocześnie różnorodnego życia. Olimp ludowy — oto w dwóch słowach całokształt wrażeń.

„Symfonia architektury” Hackenschmidta posługuje się doskonałymi zdjęciami, ale rewelacji nie przynosi. Realizator nie docisnął, że się tak wyrazimy, tematu. Nie pokazał nam ani fizjologii architektury, nie powiązał poszczególnych obrazów w całość rytmizowaną i przemysłaną, a brak point i zamknięcia poszczególnych okresów koncepcyjnych wytworzą pewną monotonię i nuży. Przytem operowanie aparatem jest bardzo jednostajne i schematyczne. W wielu wypadkach aż się prosiło aby oko kamery „zezem” spojrzęło na dany element architektoniczny. Jedyną niespodzianką (zresztą świetną) to zdjęcie owej podłogi dziedzińca oraz rzeczba przepływająca jak chmura po pustym niebie. Sądziemy, że największą wadą jest tutaj scenarjusz i brak oryginalnej a samorodnej wizji realizatora. Szkoda też, że nie uwzględnił on architektury ruin i architektury rodzącej się. Pokazano nam bowiem jedynie architekturę „w kwiecie wieku”. A symfonia jest najwyższą formą muzyczną i operuje zazwyczaj całokształtem zagadnień.

Inne fragmenty „Organisty od św. Vity” M. Frica i „Zyjemy w Pradze” O. Vavzy stanowią solidną i kulturalną twórczość filmową, pełną umiejętnego traktowania światła i znakomitego wygrywania przedmiotów jako elementu o wartości kinowo-artystycznej. Prostota, oszczędność wyrazu, celowość i plastyka składają się na rzeczy o wysokim poziomie. Gra niektórych aktorów b. dobra.

„INFORMACJA PRASOWA POLSKA”

jedne od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Wycinki z gazet i czasopism — to najlepší przegląd prasy w każdej sprawie.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-11-53).

HISTORJA SZTUKI

Prof. Ryszard Hamann — DZIEJE SZTUKI OD EPOKI STAROCHRZEŚCIJAŃSKIEJ DO CZASÓW DZISIEJSZYCH

Dr. Michał Walicki — DZIEJE SZTUKI POLSKIEJ

1000 — 1200 stron na pięknym papierze ilustracyjnym, przeszło 1400 znakomicie wykonanych ilustracji, 32 plansze rotograwjurowe

PRZEDPŁATA ULGOWA przy wpłacie zgóry

tylko Zł. 27.— za całość

przy opłacie w trzech ratach kwartalnych Zł. 30.— Przesyłka Zł. 3.—

Proszę o przysłanie ilustrowanego prospektu HISTORJI SZTUKI. Zastrzegam sobie prawo zamówienia tego dzieła na ulgowych warunkach

Adres ..... Podpis ..... P.

M. ARCT-WARSZAWA

Nowy-Świat 35, P. K. O. 196

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590

Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 spalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10